

Boginii tańca. Bronisława Niżyńska.



Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts

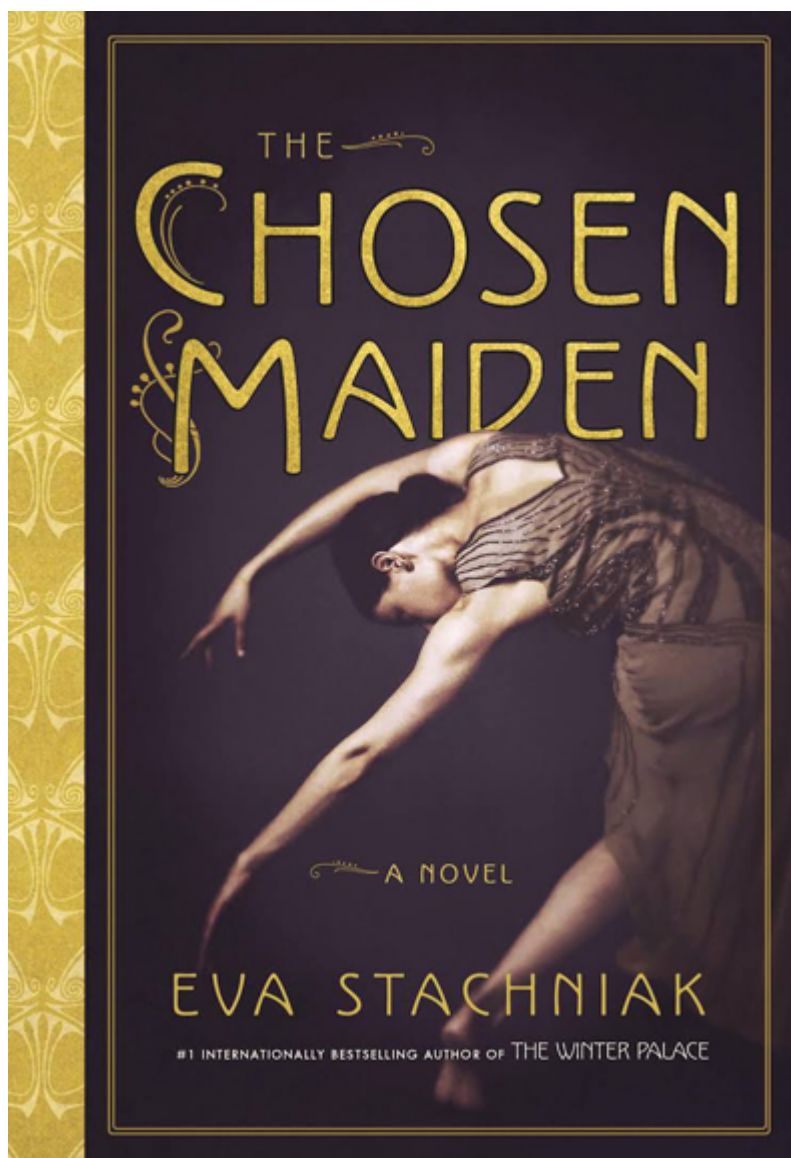
Joanna Sokołowska-Gwizdka: W styczniu w Kanadzie ukazała

się Pani najnowsza książka „The Chosen Maiden”. Polska premiera „Bogini tańca” planowana jest na maj tego roku. Co zafascynowało Panią w słynnej tancerce Bronisławie Niżyńskiej, że zajęła się Pani tą postacią?

Ewa Stachniak: Przede wszystkim jej niezwykła siła i zaangażowanie w sztukę, której poświęciła życie. W jej pokoleniu kobiet, nie było to aż tak częste, choć Bronisława dojrzewała wśród światowej sławy baletnic, takich jak Anna Pawłowa, Tamara Karsavina, czy Matylda Krzesińska. Poza tym była córką polskich tancerzy którzy wyjechali do Rosji „za chlebem” i zawsze żyli na granicy kultur. Zafrapowało mnie także, że na całym jej życiu zaważył cień sławy brata. Wacław, Bóg Tańca, jak o nim mówiono, od dziecka uznawany był za wyjątkowy talent. Jego młodsza siostra wiele się od niego nauczyła, ale aby stać się dojrzałą artystką musiała poszukać własnej artystycznej drogi. I to właśnie zrobiła.

JSG: Wacław Niżyński był postacią tragiczną, pogrążony w chorobie psychicznej trzydzieści lat spędził w zakładach zamkniętych. Pod koniec lat 90. ukazał się w Anglii jego „Dziennik”, bez skrótów dokonanych wcześniej przez jego żonę, pisany pomiędzy ostatnim występem a rozpoczęciem leczenia. Publikacja ta spowodowała falę zainteresowania Wacławem Niżyńskim, jego geniuszem i tragizmem. Czy zwiększyło się też wtedy zainteresowanie jego siostrą Bronisławą?

ES: Interesowano się nią już dużo wcześniej. *Wspomnienia* Bronisławy Niżyńskiej – skompletowane jeszcze w 1971 roku, ukazały się w 1981 roku, 9 lat po jej śmierci i spotkały się z dużym zainteresowaniem. Świat baletu nigdy o niej nie zapomniał, choć dotychczas nie zdobyła powszechnej popularności. W USA, Lynn Garafola, z Barnard College, pracuje obecnie nad biografią Niżyńskiej, może więc jesteśmy świadkami zmian?



JSG: Z „Dziennika” Wacława Niżyńskiego wynika, jak dużą rolę w jego życiu odgrywała siostra. Czy słynny tancerz był dla Bronisławy tym samym, czym ona dla niego?

ES: Był dla niej nauczycielem, mentorem, inspiracją, partnerem. Wyrastali razem, mieli bardzo podobne zrozumienie baletu. Byli dla siebie artystyczną inspiracją. Różnica polegała na tym, że Wacław naznaczony sławą tak wcześnie w swoim życiu i starszy od siostry o prawie dwa lata, przez długi czas ją wyprzedzał. Musiała uwolnić się od jego wpływu, znaleźć własny głos, rozwinąć własne wizje. Udało jej się to dopiero w rewolucyjnej Rosji, w Kijowie, gdzie znalazła się w samym sercu modernistycznej rosyjskiej awangardy.

JSG: Wybrana na ofiarę - to rola w drugiej części „Święta wiosny” Igora Strawieńskiego, słynnym balecie, wystawionym przez Balety Rosyjskie Siergieja Diaghilewa w 1913 roku, z choreografią Wacława Niżyńskiego. Dziewczyna ginie w tańcu, dzięki czemu przyroda budzi się do życia. Wybraną miała zatańczyć Bronisława Niżyńska, ale ostatecznie rolę tę otrzymała Maria Piltz. Czy tytuł książki „The Chosen Maiden” ma być metaforą życia słynnej tancerki?

ES: To, że nie mogła zatańczyć Wybranej w 1913 roku było dla Bronisławy ciosem. Nie zatańczyła, bo była w ciąży i ta rola mogła kosztować życie jej nienarodzonego dziecka. Szkoda że

tak się stało, ale rzeczywiście Wybrana ma w mojej powieści wiele znaczeń. To nie tylko słynna rola czy ofiara złożona budzącej się do życia ziemi. Bronisława została wybrana by stać się pełnoprawną artystką, by rozwinąć swój własny styl, stworzyć balety, które przeszły do historii.

JSG: Bronisława Niżyńska oprócz współpracy z Diaghilevem, miała własny zespół baletowy w Kijowie, była baletmistrem i choreografem Polskiego Baletu Reprezentacyjnego, założyła szkołę baletową w Los Angeles, współpracowała z American Ballet Theatre, kierowała też Buffalo Ballet Theater. Czy można powiedzieć, że artystka odniosła światowy sukces?



Bronisława
Niżyńska, fot.
Gordon Anthony,
1937 r.

ES: Zdecydowanie. Była i jest uznanym choreografem i jedną z pierwszych kobiet, która zdobyła międzynarodowe uznanie. Do tej listy dorzuciłabym jeszcze Teatro Colon w Argentynie, który nigdy nie ukrywał, że to Bronisława Niżyńska stworzyła podwaliny argentyńskiego baletu.

JSG: Jak układało się jej życie prywatne?

ES: Miała dwóch mężów. Pierwszy, Sasza Koczetowski, zostawił ją z dwójką małych dzieci w Kijowie w 1921 roku. Drugi, Kola Singajewski, który był uczniem Szkoły Ruchu, jak nazywała się kijowska szkoła tańca Bronisławy Niżyńskiej, był jej oddany aż do jego śmierci w 1968 roku. Broni wielką, choć niezrealizowaną, miłością, nie był jednak ani Koczetowski ani Singajewski, a Fiodor Szalapin, wielki rosyjski śpiewak operowy. Przeżyła wiele osobistych tragedii, ale także wiele radości. Miała ciekawe życie.

JSG: Waław Niżyński mówił, że czuje się Polakiem, mimo, że słabo mówi po polsku. Czy Bronisława Niżyńska też czuła się związana z Polską?

ES: Oboje wychowali się w polskim domu. I Waław i Bronia zostali ochrzczeni w Warszawie. W 1928 roku kiedy Bronia pracowała w Argentynie, pisała do matki listy po polsku. W 1937 roku, została baletmistrem w Teatrze Wielkim i choć angaż ten nie zakończył się po jej myśli, jej polski okres był bardzo owocny.

Polskość była dla niej sprawą osobistą, rodzinną. Nie afiszowała się z nią, ale też nigdy nie starała się umniejszyć jej znaczenia.

JSG: „The Chosen Maiden”, tak jak inne Pani książki jest powieścią historyczną. Na ile jest tam faktów, a na ile fikcji?

ES: Bardzo się staram by moje powieści oparte były na historycznych faktach. Pracując nad powieścią korzystałam z archiwalnej kolekcji w Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie. *The Bronislava Nijnska Collection* zawiera pokaźną kolekcję notatek, listów, pamiętników i zdjęć – wszystkie te materiały posłużyły mi jako źródła. Poza tym rozmawiałam z tancerzami i choreografami, starając się poznać tajniki ich pracy. Fikcją jest moja tych faktów interpretacja.

JSG: Czy i z tą postacią się Pani „zaprzyjaźniła”?

ES: Bardzo. Stała się moją przewodniczką po świecie współczesnego baletu, nauczyła mnie patrzeć na taniec oczyma choreografa. Przeżywałam z nią jej radości i jej tragedie. Była mi też bliska, gdyż wychowywały mnie kobiety pokroju Broni i jej matki: odważne, naznaczone historią, silne. Moja babcia nie była dokładnie rówieśniczką Broni ale należały do tego samego pokolenia kobiet, które nie mogły sobie pozwolić na słabość bo przetrwanie ich rodzin spoczywało na ich barkach.



Bronisława Niżyńska w balecie „Les biches”,
1924 r., fot. pinterest.

JSG: Do jakich miejsc związanych z Bronisławą Niżyńską dotarła Pani zbierając materiały do książki?

ES: Paryż, Wenecja, Monte Carlo, Nicea, Normandia, Warszawa, wszędzie, gdzie Balety Rosyjskie odnosiły swoje największe sukcesy, gdzie powstawały choreograficzne arcydzieła Wacława i Bronisławy. Odwiedzałam teatry, w których pracowała, sceny na których tańczyła, chodziłam ulicami, przy których mieszkała. Do

Wenecji przyciągnął mnie Diaghilev, na wyspę San Michele, gdzie jest pochowany i na Lido gdzie zatrzymywał się podczas każdego pobytu w Wenecji.

JSG: Książka ukazała się już w Niemczech, będzie też polskie wydanie, Czy są plany dotarcia do innych krajów?

ES: „Bogini tańca” ukaże się we Włoszech, inne plany są jeszcze w trakcie negocjacji.



Ewa Stachniak przy rzeźbie przedstawiającej parę tancerzy -
rodzeństwo Waclawa i Bronisławę Niżyńskich w balecie
„Popołudnie fauna”. Rzeźba stoi w Teatrze Wielkim w

Warszawie.



Tłumaczka z pasją.

Nina Krygier- Michalak.



Nina Krygier-Michalak

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Powieść „Kto widział wiatr” będąca debiutem pisarskim kanadyjskiego powieściopisarza, dramaturga i satyryka Williama O. Mitchella wydana po raz pierwszy w 1947 roku od razu stała się bestsellerem. Znalazła się w lekturze szkolnej, na jej podstawie nakręcono film. Dopiero po 60 latach zainteresowało się wydaniem kanadyjskiej powieści w pani tłumaczeniu polskie wydawnictwo MUZA. Jak długo starała się pani zainteresować wydawnictwa w Polsce tą książką?

Nina Krygier-Michalak: Około czterech lat. Jest to żmudny proces zwłaszcza kiedy nie jest się na miejscu, tzn. w Polsce i nie ma się na tamtym rynku ugruntowanej pozycji jako tłumacz. Bywało, oczywiście, że całymi miesiącami nic się nie działo, byłam zajęta inną pracą, sprawami rodzinnymi. Kiedy wybrałam się na Krajowe Targi Książki w Warszawie biorąc ze sobą piękne, albumowe wydanie, MUZA była jednym z wydawnictw, które obejrzały książkę i przywiezione przeze mnie dodatkowe materiały. No i widocznie coś musiało się im w tym wszystkim spodobać.

Jednym z powodów, dlaczego książka czekała na polskiego czytelnika od 60 lat jest zapewne fakt, że sam autor chyba nie za bardzo zabiegał o tłumaczenie jej na inne języki. Za jego życia ukazała się jedynie wersja francuska. Dopiero w ostatnich latach książka została przetłumaczona także na koreański i włoski. Z kolei jeśli nawet Polak będący tłumaczem przeczytał ją w

oryginał, to zapewne rezygnował w przedbiegach, bojąc się piętrzących trudności związanych ze znalezieniem wydawcy i perspektywą pracy bardziej prestiżowej niż zarobkowej.

JSG: Jak podeszli do wydania powieści w Polsce spadkobiercy autora?

NKM: Spadkobierców spuścizny literackiej pisarza, którymi o ile mi wiadomo są jego dzieci: dwóch synów i córka, nie poznałam jeszcze osobiście, chociaż mam nadzieję, że to wkrótce nastąpi, zwłaszcza po zapięciu na ostatni guzik wszystkich warunków umowy i podpisaniu ostatecznej wersji. Przez cztery lata byłam w kontakcie internetowym z jednym z synów. Orm Mitchell wykłada literaturę kanadyjską na uniwersytecie w Trenton w prowincji Ontario. Kontakty z nim były sporadyczne i raczej oficjalne, aczkolwiek ostatnio otrzymałam miłe i ciepłe słowa podziękowań za upór w dążeniu do wydania polskiego tłumaczenia dzieła jego ojca.

JSG: Dlaczego pani zapragnęła przetłumaczyć tę właśnie powieść? Co według Pani stanowi o jej wartości?

NKM: Nie jestem krytykiem literackim, więc nie wiem według jakich kryteriów dana książka zasłużyła sobie na miano arcydzieła. „Kto widział wiatr” – nawet jeśli nie uzna się jej za arcydzieło – należy z pewnością do tzw. bardzo dobrej literatury.

Osadzona w realiach kanadyjskiej prerii lat 30. XX w. opowiada dzieje chłopca zgłębiającego tajniki życia. Tłem dla przygód chłopca są losy mieszkańców małego miasteczka w prowincji Saskatchewan i roztaczająca się wokół bezbrzeżna kanadyjska preria. Co ujmuje w niej najbardziej to prosty, a jednocześnie poetycki i pełen humoru język, którym autor posługuje się zarówno opisując sprawy przyziemne, zwykłe, jak i pokazując sprawy wielkie, takie jak stosunek człowieka do przyrody, czy też problem wolności indywidualnej a odpowiedzialności przed społeczeństwem. To chyba pierwsza rzecz, która bardzo mi się w tej książce podoba – umiejętność połączenia kontrastujących ze sobą elementów: powagi z humorem, prozy z poezją, czyli jej uniwersalizm. Dzięki temu książka może podobać się zarówno osiemnastolatkowi, jak i osiemdziesięciolatkowi. Druga rzecz to od pierwszych kartek książki fascynujący proces całkowitego utożsamienia się z głównym bohaterem, który jest przecież dzieckiem i trzeba się czasem uszczypnąć, by zdać sobie sprawę z relacji bohater – czytelnik. Stanowi to, według mnie, o absolutnym autentyzmie powieści.

JSG: Czy trudno jest przenieść na język polski klimat międzywojennej kanadyjskiej prerii w prowincji Saskatchewan i losów poznającego życie młodego chłopca? Czy natrafiła pani na jakieś szczególne trudności podczas tłumaczenia?

NKM: Trudności tłumaczeniowe wynikają między innymi z

uproszczonego, czy też lekko gwarowego języka, jakim posługują się niektórzy bohaterowie. Najczęściej jednak to po prostu jest to kwestia innej struktury zdania, czy też zbitek językowych, funkcjonujących w angielskim np. jako przymiotniki, nie mające bezpośrednich odpowiedników w języku polskim, które trzeba zgrabnie rozpisać. „Black-eyed Susan” to w polskim po prostu „czarnooka Zuzanna”, ale spróbujmy przetłumaczyć „three-gaited horse”, koń idący raz stępą, raz kłusem, raz galopem. Jak zrobić z tego przymiotnikowego „konia o trzech chodach”?

JSG: Jak to jest, gdy spędza się wiele czasu z jedną powieścią. Czy „zaprzyjaźniła się” pani z jej bohaterami? Czy oni stali się częścią pani świata?

NKM: Kilka lat po przeczytaniu książki pamięta się ciągle przezabawne scenki. Z bohaterem nie tyle się zaprzyjaźniłam, co po prostu, jak już wspomniałam wcześniej, stał się on częścią mnie. Zresztą każdy z nas, mimo upływu lat, z łatwością może przenieść się w świat dzieciństwa, świat pierwszych fascynacji zapachami, barwami, smakami, świat zadziwienia i zdumienia. I ta książka właśnie ten świat przybliży, czy też jak kto woli, na nowo odkrywa.

JSG: Skończyła pani Studium Języków Obcych na Uniwersytecie Warszawskim, ze specjalnością językoznawstwo stosowane. W Kanadzie pracuje Pani jako tłumacz od 1984 roku. Czy

tłumaczenie literatury to pani hobby, pasja?

NKM: I jedno i drugie. Hobby, dlatego, że w kanadyjskich warunkach (choć może i w polskich również), nie ma możliwości poświęcenia się całkowicie tłumaczeniu literatury, zwłaszcza wartościowej. Jest to rzecz wielce nie intratna, a życie ma swoje prawa. Pasja, bo od zawsze fascynowało mnie słowo. Jeszcze kiedy mając 12-13 lat nie znałam żadnego obcego języka i namiętnie rozwiązywałam krzyżówki i fascynowała mnie zabawa na zasadzie: jak to można inaczej nazwać, czy wyszukiwanie obcych słów - angielskie piwo „Ale”, australijski misio „koala” itp.

JSG: Tłumaczy pani literaturę nie tylko z języka angielskiego na język polski, ale i odwrotnie, z języka polskiego na język angielski. Takim tłumaczeniem był np. zbiór wywiadów Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm pt. „Korzenie są polskie”. Na jaki język woli pani tłumaczyć? Proszę opowiedzieć coś więcej o „Korzeniach...”, czy np. trudno jest oddać różne polskie zawiłości historyczne w języku angielskim?

NKM: Ogólnie powiedziawszy, łatwiej tłumaczyć z obcego języka na język ojczysty, w którym się wyrosło, ukończyło szkołę. Tłumaczenie odwrotne, z języka ojczystego na obcy, wymaga jeszcze większego nakładu pracy, a ostateczna wersja musi być koniecznie sprawdzona przez tzw. native speaker. Najlepiej, tak

jak ja to robię szczególnie przy tekstach literackich, przez osobę nie mającą żadnych naleciałości językowych, nie znającą obcych języków i poruszającą się tylko i wyłącznie w obrębie języka angielskiego. Poza tym proces jest podobny: pierwsza wersja, niezgrabna, siermiężna, dosłowna, by nie uronić żadnego niuansu. Drugi etap ja nazywam przy tłumaczeniach z angielskiego na polski „przekładaniem z polskiego na nasze”, czyli obróbka językowa, szlifowanie, polerowanie, wygładzanie zdań, prawie tak jak przy obróbce drogocennych kamieni. „Korzenie” to była dla mnie przede wszystkim wielka lekcja historii: ta galeria wybitnych postaci z kanadyjskiego i amerykańskiego podwórka, wielu z pokolenia „niezłomnych” z ogromnym bagażem doświadczeń przedwojennych, wojennych i powojennych. Oprócz bardziej znanych postaci jak Czesław Miłosz czy Zbigniew Brzeziński, na kartach książki znalazł się m.in. Janusz Żurkowski, wybitny pilot doświadczalny, którego nazwisko trafiło do Encyklopedii Kanadyjskiej. Trudności językowych nie brakowało. Przez długi czas głowiliśmy się z panem Koglerem – ówczesnym dyrektorem Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Badawczego, który zlecił mi tłumaczenie – jak najlepiej przełożyć na angielski słowo: „niezłomni”. Ja zaproponowałam „indomitable”, on nie był do końca przekonany, ale ostatecznie ta wersja poszła do druku. „Indomitable” znaczy dosłownie „nieposkromiony, niezwyciężony, niepokonany”, ale w angielskim często używa się go z rzeczownikiem „spirit”, „indomitable spirit”, i to właśnie jest to, człowiek niezłomnego

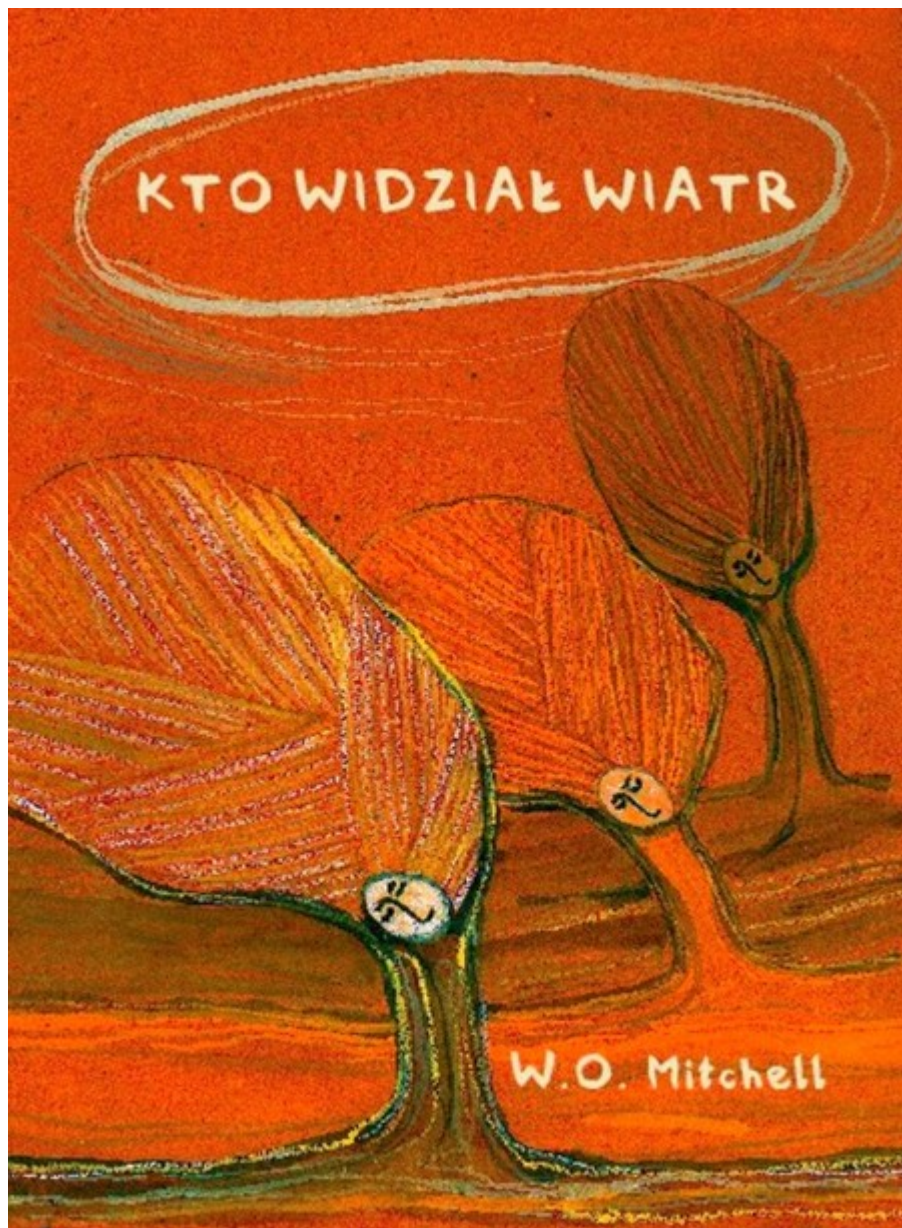
ducha.

JSG: Kiedy i z jakiego powodu znalazła się pani w Kanadzie? Czy czuje się tu pani u siebie?

NKM: Z kraju nie wygnała mnie ani bieda, ani prześladowania polityczne. Z mężem, Kanadyjczykiem polskiego pochodzenia, poznaliśmy się we Francji mając po 21 lat. Jego polski był wtedy słaby, mój angielski - żaden. Kilka następnych lat to długie, cotygodniowe listy (obydwoje nieźle znaliśmy już wtedy francuski), rzadkie spotkania, tęsknota i.... paszportowa gehenna. Kiedy w wieku 25 lat postanowiliśmy się pobrać, było mi obojętne gdzie jadę: najważniejsze było być razem. Z perspektywy czasu widzę jakie miałam szczęście. Przyjechałam do kraju zamożnego, do rodziny męża, która przyjęła mnie z otwartymi ramionami, znającej język polski i pielęgnującej polskie tradycje. Po prawie 30 latach trudno nie czuć się u siebie, w jakimkolwiek chyba kraju. Wszystko zaczyna nas wiązać: rodzina, dzieci, grono przyjaciół, praca, dom, sposób spędzania wolnego czasu, coraz więcej znajomych, wydeptanych ścieżek. Z Polską mam bardzo żywe kontakty, często odwiedzam tam przyjaciół i rodzinę, przez Internet ciągle słucham różnych polskich rozgłośni radiowych.

JSG: Czy jest jeszcze jakaś książka, która chciałaby pani przetłumaczyć?

NKM: Syn autora wspomniał, że jest dalszy ciąg dziejów bohatera, luźno połączony z pierwszym tomem (trochę na zasadzie „Ani z zielonego wzgórza”). Zobaczymy.



*W.O. Mitchell, Kto widział wiatr, tłum. Nina Krygier-Michalak,
wyd. Muza 2008 r.*

Nina Krygier-Michalak jest tłumaczką z zawodu i z

zamiłowania. W 1975 roku ukończyła Studium Języków Obcych na Uniwersytecie Warszawskim, ze specjalizacją - językoznawstwo stosowane. Posiada również tytuł tłumacza dyplomowanego (certified translator) przyznany przez Kanadyjskie Stowarzyszenie Tłumaczy (Association of Translators and Interpreters of Ontario). Posługuje się językami obcymi: angielskim, francuskim, hiszpańskim. W Kanadzie pracuje jako tłumacz od 1984 roku. Jej pionierska praca przybliżająca różne sprawy z życia politycznego, społecznego, ekonomicznego i kulturalnego, pokazywała różnice między Polską i Kanadą. Aby przybliżyć Polakom Kanadę, Nina Michalak opracowała dla polskiej sekcji Radio Canada International, 30 krótkich historii, opartych na francuskich i angielskich materiałach źródłowych, dotyczących różnych aspektów życia w Kanadzie. Na początku lat 90. na zlecenie Kongresu Polonii Kanadyjskiej oraz Polsko-Kanadyjskiego Ośrodka Naukowo-Badawczego, pracowała nad serią esejów historycznych na temat wkładu Polaków w społeczeństwo kanadyjskie. Jednym z najważniejszych projektów było przetłumaczenie wybranych rozdziałów książki z okazji 50-lecia Kongresu Polonii Kanadyjskiej, wydanej w 1996 roku (Half a Century of Canadian Polish Congress). Ostatnią większą przetłumaczoną pozycją, jest zbiór wywiadów pióra Aleksandry Ziółkowskiej-Bohem pod tytułem „Korzenie są polskie”. Przedstawieni w niej zostali wybitni Polacy, mieszkający w Kanadzie i Stanach, tacy jak np. pilot Janusz Żurkowski czy doradca do spraw zagranicznych

prezydenta Jimmy'ego Cartera, Zbigniew Brzeziński. (Pierwsze wydanie w 1999 r., drugie w kwietniu 2004).

Władysław Teodor Benda – artysta, którego pokochała Ameryka

Rozmowa z Anną Rudek-Śmiechowską, autorką pionierskiej książki o Władysławie Teodorze Bendzie, bratanku Heleny Modrzejewskiej, wybitnym ilustratorze, twórcy amerykańskich masek.

✘ **Joanna Sokołowska-Gwizdka:** Co zafascynowało Panią we Władysławie Teodorze Bendzie, że zdecydowała się Pani zająć tą

postać?

Anna Rudek-Śmiechowska: Odpowiadając na to pytanie, muszę cofnąć się do czasu studiów, które odbywałam w pięknym Lublinie. Studiowałam historię sztuki. Szukając tematu na seminarium magisterskie postanowiłam sięgnąć po dzieje polskiej emigracji artystycznej w Stanach Zjednoczonych. Wybór kontynentu i tematu był niejako oczywisty.

Ze względów rodzinnych bywałam za Oceanem wielokrotnie, głównie w Nowym Jorku. Miasto, ludzie, kultura, historia – niesamowicie mnie fascynowały. Poznałam tamtejsze środowisko artystów i kolekcjonerów, tak polskich, jak i amerykańskich. Oglądałam dzieła sztuki, słuchałam ciekawych opowieści, obcowałam z wydarzeniami i śladami historii. Wiedziałam, że kultura i sztuka tworzona przez Polaków w Ameryce jest ciekawa i znacząca, niemniej niezbyt dobrze opracowana przez historyków sztuki. Wśród artystów działających w Stanach Zjednoczonych istnieją ci wybitni, którzy zostali zauważeni i docenieni, ale i ci, którym los nie rozdał dobrych kart. Wielu z nich zasługuje jednak na uwagę i rzetelne studia.

Najpierw zdecydowałam się na opracowanie dziejów PAAS, czyli Polish American Artist Society. Było to stowarzyszenie, które działało w Nowym Jorku w latach 1985-1991. Niezwykłe postaci, ciekawe założenie, ambitne plany, niestety nieco smutne

zakończenie. Obecnie pracuję nad książką poświęconą temu zjawisku, więc nie będę zdradzać wszystkich szczegółów. O PAAS powstała moja praca magisterska. Rozprawę napisałam pod opieką prof. Jana Wiktora Sienkiewicza, który zajmuje się polską emigracją artystyczną (poświęcił wiele swoich studiów naukowych emigracji polskiej w Anglii). Po obronie profesor zasugerował, abym zastanowiła się nad doktoratem i poszukała odpowiedniego tematu.

Kilka miesięcy później, będąc z wizytą w Nowym Jorku, namówiona przez ojca, poszłam na wystawę do Fundacji Kościuszkowskiej, w której pokazywano urywek dokonań W. T. Benda. Po obejrzeniu jego prac zaczęłam szukać książek, opracowań i... nie znalazłam nic. Kilka informacji, kilka artykułów. Wtedy postanowiłam zająć się postacią W. T. Benda i przywrócić pamięć o nim.

JSG: Benda uczył się w Krakowie i w Wiedniu. Był malarzem, rzeźbiarzem, ilustratorem. Czy długą drogę musiał przejść, zanim w Ameryce doceniono jego europejskie wykształcenie i talent?



W. T. Benda, [Mężczyzna z fajką],
rysunek, zbiory Ann Taylor, fot.
ARS.

ARS: Do wymienionych miejsc nauki należy dodać również Amerykę, gdzie W.T. Benda podjął edukację artystyczną w trzech placówkach. Pierwszą z nich był kalifornijski Mark Hopkins Institute of Art, potem już znaczące nowojorskie placówki, czyli Chase Art School (założona przez samego Williama Merritta Chase'a) i Art Students League. O Chase Art School warto wspomnieć kilka zdań, gdyż tam W.T. Benda uczęszczał na nauki do jednego z najpopularniejszych artystów amerykańskiej awangardy, a mianowicie do klasy prowadzonej przez Roberta

Henriego, twórcy tzw. The Ashcan School - Szkoły Śmieciarzy. Wśród kolegów szkolnych byli: George Bellows, Rockwell Kent, John French Sloan, Walter Pach, Walter Biggs, Walter E. Tittle. W.T. Benda wspominał, że „była to niezwykła klasa”, co nie ulega wątpliwości, zważając choćby na postać nauczyciela, który był wielbionym przez studentów mistrzem.

Zaczynając jednak od początku, to W.T. Benda zaczynał edukację artystyczną w Krakowie w Szkole Sztuk Pięknych (dzisiejsza Akademia), ale trwało to zaledwie dwa semestry. Zachowały się jego świadectwa, w których dobrą opinię o uczniu wydaje m.in. Władysław Łuszczkiewicz. Wydaje mi się jednak, że dużo więcej zyskał na naukach w Wiedniu, w prywatnej szkole sztuk pięknych Heinricha Strehblowa, gdzie zdobył umiejętność posługiwania się techniką rysunku węgłem - tak podziwianą i zaskakującą w jego późniejszej karierze.

Na nowym kontynencie artysta dosyć szybko znalazł zlecenia i pracę. Jego podpisy jako ilustratora znalazłam już w rysunkach z 1904 roku, a więc niecałe pięć lat po przyjeździe do Ameryki. Myślę, że znaczącą rolę w tej kwestii odegrała ciotka Helena Modrzejewska i przetarte przez nią szlaki. Tak więc nie wydaje mi się, aby jego amerykańska droga była specjalnie trudna, jeśli chodzi o początki. Niemniej wymagała od niego rzetelności, pracowitości, kontaktów z Amerykanami (a więc i nauki języka), ponadto nieustannego doskonalenia umiejętności, wiary we

własny talent. Myślę, że W.T. Benda należy do tych artystów, którzy choć urodzeni w Polsce, to należą do Ameryki, która ich pokochała i niejako adoptowała.

JSG: W.T. Benda syn muzyka Szymona Bendy – przyrodniego brata wielkiej aktorki Heleny Modrzejewskiej, przyjechał do Stanów Zjednoczonych wraz z rodzicami i siostrami na zaproszenie ciotki w 1889 roku. Pierwsze zlecenie pochodziło od Heleny Modrzejewskiej, która poprosiła go o zaprojektowanie scenografii i kostiumów do „Antoniusza i Kleopatry”. Jak potem potoczyła się samodzielna kariera artysty?

ARŚ: Pierwszym przystankiem na nowym kontynencie była siedziba Modrzejewskiej w Arden. Stamtąd W.T. Benda przeniósł się do Los Angeles, potem do San Francisco i w końcu do Nowego Jorku. O tym, że ciotka pomagała bratankowi na początku amerykańskiej wędrówki, świadczy kilka faktów. W Muzeum Narodowym w Poznaniu znajdują się rysunki sygnowane przez W.T. Bendę (datowane na 1899 rok), które przedstawiają kostiumy kobiece do sztuk teatralnych i były przygotowywane dla Heleny Modrzejewskiej. W jednym z listów Heleny Modrzejewskiej do męża Karola Chłapowskiego znalazłam informację, że Władzio (jak nazywała go ciotka) założył „atelier” czyli studio rysunku w Los Angeles i ciotka mu w tym pomagała. Niemniej artysta nie był zależny od Modrzejewskiej, szybko odnalazł się w nowej rzeczywistości i

zyskał uznanie.

Przede wszystkim ilustrował książki, gazety, magazyny. Był bardzo znanym i często zatrudnianym ilustratorem. W 1913 roku w wywiadzie dla „Metropolitan” przyznawał, że jest to jego „główne zajęcie”. Badając życie i twórczość artysty udało się ustalić, że jego prace ukazały się w ponad dwudziestu tytułach prasowych (w latach 1903-1943), ponadto rysunki zdobiły liczne książki, plakaty, ulotki, manifesty. Tworzył dla gigantów, ale i małych gazetek drukowanych na bardzo kiepskim jakościowo papierze. Wśród tytułów wymienić należy choćby: „Hearst’s International”, „Cosmopolitan”, „Life”, „Scribner’s”, „McClure’s”. Tworzył też niezwykle maski, które przyczyniły się do rozwoju jego kariery, a w czasie wielkiego kryzysu stały się jednym ze sposobów na utrzymanie.



W. T. Benda, niezidentyfikowana maska, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.



W. T. Benda, Maska Golden Goddess, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.



W. T. Benda, Maska The Old Wag, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.



W. T. Benda, Maska The Miser, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.

JSG: Maski – to była wyjątkowa dziedzina twórczości Bendy. Zaczęło się od tego, że znajomi zaprosili go na bal maskowy, podczas którego założona przez niego maska wzbudziła niemały zachwyty. Poświęca Pani dużo miejsca w swojej książce maskom, uznając je za odrębną gałąź sztuki. Na czym polegał fenomen masek W.T. Bendy?

ARŚ: W. T. Benda był nie tylko jednym z filarów ilustracji amerykańskiej, ale i „ojcem amerykańskich masek”. Sam nazywał je swoimi „papierowymi dziećmi”. Dlatego też w książce, która z założenia jest monografią życia i twórczości

artysty, poświęcam maskom tyle miejsca, ile ilustracjom. W pewnym momencie zupełnie przypadkiem, W. T. Benda zaczął tworzyć maski, szybko jednak stał się wielkim znawcą tematu, wybitnym ekspertem.

Jego prace wykorzystywał sam J.M. Anderson w swoich nowojorskich rewiach, zdobyły one niejedną okładkę czasopism (nie tylko dotyczącą teatru), były też np. rekwizytami fotograficznej sesji mody tworzonej dla magazynu „Vogue”, pojawiały się w filmach, telewizji, ale i powieściach czy nowelkach (jako określenie tajemniczego wyrazu twarzy). W.T. Benda do dziś uważany jest za eksperta w tej dziedzinie, a nazwisko jego wymienia się w opracowaniach o maskach, pantomimie, czy rewiach.

Znaczenie, ale i niespotykaną dotychczas wagę działania W.T. Benda w świecie masek świetnie zilustrował słowami przyjaciela twórcy, a naczelny magazynu „Vanity Fair” - Frank Crowninshield, który napisał: „Benda dokonał tego, co mógł zrobić tylko prawdziwy artysta. Ożywiając starą sztukę, wymyślił nową”. Maski W.T. Benda były w Ameryce (ale i na świecie) czymś nowym, a raczej nowatorskim w stylu. Odniosły wielki sukces ze względu na popularność teatru i rewii w tamtym czasie.

W historii sztuki bezsprzecznie należy je uznać za unikat i

fenomen swoich czasów. Choć powstały przypadkiem, jako atrybut na bal maskowy, to w ciągu wielu lat pracy nad nimi oraz dzięki popularności jaką zyskały na scenach (nieomal całego świata) „fałszywe twarze” W.T. Bandy stały się jedną z piękniejszych gałęzi sztuki. Oparte na tradycji japońskich masek „No”, teatralnych maskach greckich i rzymskich, maskach pośmiertnych, tradycyjnych maskach rytualnych z Afryki czy Ameryki, były zupełnie inne, nowe i dotychczas niespotykane. Miały wielką siłę oddziaływania, ale i tak charakterystyczną dla W.T. Bandy delikatność, tajemniczość i romantyzm.

JSG: Czy artysta stosował specjalne techniki wytwarzania masek?



W. T. Benda ze swoimi maskami,
fotografia (1920), zbiory
prywatne, fot. ARS.

ARS: Wszystkie maski tworzył wg własnych, autorskich technik. Pracował nad sposobem ich powstawania, doborem odpowiednich materiałów, ale i warsztatem, dwadzieścia lat. Stworzenie jednej maski wymagało od niego kilku miesięcy pracy. Zaczynał od studiów natury, potem robił szkice, dalej już rysunki i projekty, konstruował korpusy (m.in. z drutów, z

tektury), dalej nakładał na nie skrawki papieru i odpowiednio malował, impregnował. Maski służyły głównie teatrowi, tak więc wymagały odpowiedniego zabezpieczenia od potu tancerek, czy częstego dotykania. Tutaj najlepszym sposobem, jaki znalazł W.T. Benda, było pokrywanie warstwami złota. Podczas złocenia, którego dokonywał w swoim studio, wyganiał z pomieszczenia żonę, córki i kota, ponieważ każdy nawet najmniejszy podmuch mógł zniszczyć ten cenny materiał.

Całą swoją wiedzę o maskach (ich historii i sposobie tworzenia) zamknął w autorskiej książce „Masks”, gdzie opisał wszystkie działania z charakterystyczną rzetelnością (książkę można czasem znaleźć i kupić przez internet). Z tego co udało mi się ustalić nie miał następców, uczniów. Było kilku naśladowców (wśród nich tancerka Margaret Severn), ale żadnemu nie udało się stworzyć tak pięknych i doskonałych masek jak W.T. Bendzie.

Maska aktorki Katharine Hepburn, była jedną z nielicznych masek-portretów. W. T. Benda tworzył głównie maski nie będące realnymi postaciami. Interesowały go raczej zbiory cech, typów ludzkich lub przedstawienia mogące obrazować jakieś wydarzenia, tańce czy opowieści. Tworzył fantazyjne demony, twarze ilustrujące stereotypy lub będące wyobrażeniem jakichś cech, rodzajów ludzkich, typów np. delikatne kobiety, gentlemanów czy mężczyzn z podkreślonymi cechami przynależnymi ich stanowi np. „Wojewoda” o wielkich

sumiastych wąsach.

JSG: Wiele znanych magazynów, wykorzystywało na okładkach ilustracje autorstwa W. T. Benda. Były to głównie wizerunki kobiet. Czy to właśnie maski oraz okładki top magazynów tak go rozśławiły w Ameryce?

ARŚ: W.T. Benda przede wszystkim był znanym ilustratorem, a uznanym twórcą masek teatralnych stał się dopiero po 1914 roku. Niemniej te dwie różne dziedziny determinowały osiągnięcia artysty. Dodatkowo W.T. Benda był projektantem, scenografem, aktorem, pisarzem, ale i malarzem. Uznanie jakim się cieszył miało związek oczywiście z jego talentem i umiejętnościami technicznymi, ale wiązało się również z tym, że pracował właśnie w Stanach Zjednoczonych i to w okresie tzw. „Złotej Ery Ilustracji Amerykańskiej” i wielkiej popularności rewii.

Wpisał się doskonale w zawód ilustratora. Miał wyczucie do tematów, stylu i estetyki, która wówczas obowiązywała- stąd tak często występujące w jego twórczości czy na okładkach portrety kobiet. Miał również odpowiedni charakter. Współpracował np. z magazynem „McClures”, w redakcji którego nazywany był „czarnym koniem”. Określenie to oznaczało, że można było na nim polegać zlecając mu zadania nawet z dnia na dzień. Wykonywał je rzetelnie, zawsze o czasie, z wielką pasją i

profesjonalizmem. Jak chodzi o rewie dużo dało mu to, z jakiej pochodził rodziny (ojciec był muzykiem), ale i to, że miał niezwykle wycucie i dar oddawania kobiecego piękna, a także to, że stworzył niespotykane dotychczas maski o specyficznym wyrazie.

JSG: Portrety kobiet, które tworzył Benda znacznie różniły się od wystylizowanego, słodkiego wizerunku, który był wcześniej rozpowszechniony. Artysta zdobył uznanie jako znawca kobiet, czego wyrazem było zaproszenie, do komisji jurorów w wyborach Miss America. Co takiego nowego było w wizerunkach kobiet stworzonych przez Bendę?

ARŚ: Wydaje mi się, że rola jurora w konkursach Miss America była raczej związana ze znajomościami artysty i jego pozycją w towarzystwie. Dzięki pracy jaką wykonywał znał wiele ważnych osobistości, wśród których wymienić można choćby: potentata prasowego Williama Hearsta, redaktora naczelnego „Vanity Fair” Franka Crowninshelda, reżysera rewii J.M. Andersona. Bywali u niego sam I.J. Paderewski czy Władysław Reymont, spotykał się z innymi ilustratorami w tym z Ch. D. Gibsonem. Może dlatego został zaangażowany jako członek jury?!



W. T. Benda, Zobeida from Syria,
reprodukcja ilustracji, zbiory
prywatne, fot. ARS.

Portrety kobiet zaś, to nawiązanie do trendu w sztuce amerykańskiej, a także wymogów rynku ilustracji i magazynów. Portrety były domeną sztuki amerykańskiej oraz obowiązującym

tematem okładek, reklam. „Kobiety Benda” cechował charakter jego kreski. Każdy ilustrator, zwłaszcza ten już uznany i popularny (czyli często angażowany do pracy) posiada swój specyficzny sposób rysowania, dosyć łatwy do rozpoznania. Analizując postaci kobiet sygnowane ręką W.T. Benda uważa się, że były bardziej ludzkie, naturalne, ale i tajemnicze, pełne subtelności, kobiecego wdzięku. W wielu przypadkach W. T. Benda ilustrował postaci emigrantek, nieco innych od wizerunków białych Amerykanek, które tworzył choćby król ilustratorów słynny Charles Dana Gibson. Na wiele ilustracji W.T. Benda trzeba patrzeć przez pryzmat obowiązującej mody i estetyki kraju, w którym powstały, choć nie determinuje to oczywiście oceny i możliwości podziwiania jego prac przez „zwykłych śmiertelników”.

Jedną z moich ulubionych ilustracji stworzonych przez W. T. Benda jest portret syryjskiej kobiety o imieniu Zobieda, narysowany dla „The Century Magazine” w 1913 roku. Dziewczyna siedzi podparta, kieruje swój wzrok prosto na widza. Jej głowę oplata turban, rękę zdoła bransoletka. Twarz nie jest posągowa, okładkowa, jest zwyczajna, a zarazem mistyczna, ciekawa, wzbudzająca emocje, wywołująca huragan myśli. Wydaje mi się nieraz, jakby coś chciała do mnie powiedzieć. Jakby miała zamiar mnie zaczepić, a ja przegapiłam właśnie ten moment. Praca jest równie subtelna w detalach, jak i samej kresce. Lubię na nią patrzeć, bo wydaje mi się, że stanowi

syntezę możliwości W. T. Bandy i świadectwo jego talentu oraz pewnej magii – przynależnej każdemu wybitnemu artyście – którą roztaczał tworząc swoje dzieła. Nie jest to jego najlepsza ilustracja, ale jest ciekawa, zaczepna.

Lubię też portrety w stylu art deco, w tym okładka magazynu „Life” z lutego 1923 roku, czy „Saturday Evening Post” z maja 1934 roku. Charakteryzujący je odpowiedni dobór kolorów, subtelność portretowanych twarzy, delikatność kreski, wysmakowana estetyka.

JSG: Dlaczego prace węglem wykonywane przez W.T. Bandy były powodem zdziwienia?

ARŚ: Leicester B. Holland będący szefem Division of Fine Arts Biblioteki Kongresu pisał w 1933 roku, w jednym z listów do W.T. Bandy: „Pana prace dotarły do mnie jakiś czas temu i wreszcie miałem szansę przyjrzeć się im dokładnie. (...) Co ciekawe, nadal zaskakuje mnie, że wykonane zostały węglem. Włada pan tym narzędziem w tak malarski sposób, że nieświadomie myślę o nich jako o wykonanych pędzlem – widok oryginałów tego nie zmienił. Dobrze wiem, że wykonane zostały węglem, jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że są namalowane” – i nie był w tej opinii osamotniony.

Przyznać trzeba, że W.T. Benda był mistrzem rysunku węglem.

Jego prace wykonane tą techniką są niesamowite. Mistrzowski sposób kładzenia kreski, światłocien, zakłęty ruch i wydobywana głębia - wszystko to tworzy doskonałe rysunki, dzieła które w odpowiedni sposób wydobywają konkretną treść. W Ameryce była to technika niecodzienna, ponadto dosyć trudna w utrzymaniu, konserwacji.

Niemniej W.T. Benda posługiwał się też ołówkiem, gwaszem, piórkiem, ale i pastelami, akwarelą, był też malarzem, rzeźbiarzem i projektantem - i w tych pracach wykorzystywał przynależne im techniki.

JSG: W.T. Benda brał czynny udział w akcji Ignacego Jana Paderewskiego, zachęcającej do wstępowania w szeregi armii. Wśród plakatów informacyjnych jest wiele jego autorstwa. Jakże poza tym były związki artysty z Polską?



W. T. Benda, [Dziewczyna w zielonej chuście], rysunek, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.

ARŚ: W.T. Benda urodził się w Polsce, w Poznaniu. Spędził w nadwiślańskim kraju prawie 25 lat. Ponadto był bratankiem Heleny Modrzejewskiej, a ona mimo pozycji i szczęścia jakie zdobyła w Ameryce, często w Polsce bywała oraz działała na rzecz ojczyzny. Podobnie było w przypadku W.T. Benda. Wracił kilka razy do Polski z wizytami - bywał w Zakopanem (te wizyty zapisały się w pamięci jego córki Eleonory, ale i w opublikowanych autorskich opowiadaniach artysty), był na pogrzebie ciotki Modrzejewskiej w Krakowie. W Nowym Jorku

W.T. Benda przyjmował polskich gości m.in. Władysława Reymonta, Zdzisława Dębickiego z „Tygodnika Ilustrowanego”. Z I.J. Paderewskim współpracował na rzecz Polski tworząc liczne plakaty rekrutacyjne oraz skierowane do społeczeństwa w celu zapewnienia pomocy ofiarom I i II wojny. Miał związki z Fundacją Kościuszkowską itd.

Podsumowując jego bezpośrednie związki z Polską trzeba powiedzieć, że były to tylko krótkie odwiedziny. Polska stała się dla niego wyłącznie krajem przodków, krajem pochodzenia. Podkreślam jednak, że nigdy nie odcinał się od Polski, zawsze wspominał, że jest Polakiem. Uważał ją za swoją ojczyznę, podtrzymywał kontakty z Polakami, bywał w kraju, ale co ważniejsze korzystał z polskich motywów, symbolii pewnych cech, które objawiają się w jego pracach poprzez umiejętność oddania romantycznej atmosfery, emocji, pewnej tajemniczości. Niemniej nie wydaje mi się, aby był z Polską jakoś bardzo związany i tęsknił za krajem dzieciństwa. Pochłonęła go Ameryka, zawładnął nim Nowy Jork. W. T. Benda stał się jedną z bardziej lśniących gwiazd zamieszkującej go ławicy. W tym kontekście podobny był do swojego kuzyna, konstruktora mostów, Rudolfa Modrzejewskiego (Ralph Modjeski), syna Heleny Modrzejewskiej.

JSG: Pani praca jest pionierska, nie było wcześniej tak dogłębnego opracowania życia i twórczości tego niezwykłego

artysty. Zebrała Pani ogromny materiał, zarówno w Polsce, jak i w Ameryce. Jak długo trwało poszukiwanie materiałów?

ARŚ: Kiedy zainteresowałam się postacią W.T. Bendi okazało się, że artysta nie doczekał się monografii, czy choćby szerszych studiów. Było to dla mnie wielkie zaskoczenie. Na jego temat powstało kilka (dosłownie) artykułów i wzmianek biograficznych. Pierwsze prace zaczęłam już w 2008 roku, przygotowałam tzw. stan badań, gdzie zebrałam istniejące artykuły m.in. dr Marioli Szydłowskiej i dr Marka Pohlada. Potem starałam się o stypendium Fundacji Kościuszkowskiej na badania. Grant otrzymałam w 2009 roku, dzięki czemu mogłam spędzić trzy miesiące w Stanach Zjednoczonych poszukując śladów artysty.

Opracowywanie zebranych materiałów zabrało mi pięć lat. Wtedy skończyłam doktorat, którego tematem był właśnie W.T. Benda, a która to praca powstała pod opieką prof. dr hab. Andrzeja K. Olszewskiego. Pracę obroniłam na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu w 2014 roku, a niecałe dwa lata później wydałam książkę – pierwszą w historii monografię życia i twórczości W.T. Bendi. Jeśli liczyć wszystko razem – od przekroczenia progu Fundacji Kościuszkowskiej w celu zobaczenia wystawy, po otrzymanie autorskiej książki do rąk własnych – praca zajęła mi prawie 9 lat.

JSG: Pisze Pani, że nawiązała kontakt z rodziną artysty. Proszę o

tym opowiedzieć?

ARŚ: O rodzinie artysty wiedziałam z tekstu Marioli Szydłowskiej, która opisała W.T. Bendę w swojej książce poświęconej artystom urodzonym w Polsce, a działającym w Ameryce w teatrach i biznesie filmowym (M. Szydłowska, Między Broadwayem a Hollywood. Szkice o artystach z Polski w Stanach Zjednoczonych, 2009). Ona poinformowała mnie o miejscu ich zamieszkania. Kiedy zdecydowałam się napisać doktorat o W.T. Bendzie i pozyskać na to grant z Fundacji Kościuszkowskiej nawiązałam z nimi kontakt e-mailowy, dokładnie z wnuczką artysty Ann Taylor. Bardzo przychylnie zareagowała ona na moje listy i zaoferowała pomoc.

Po przyjeździe do Nowego Jorku skontaktowałam się z nią telefonicznie i zostałam zaproszona do nich na Święto Dziękczynienia. Podczas tego spotkania poznałam córkę artysty Eleonor Benda Bostelmann Shimmler oraz prawnuki (synów Ann Taylor). Potem jeszcze kilka razy gościłam u nich oglądając prace Bedy i fotografując prawie wszystkie materiały jakie udało im się wyciągnąć z licznych pudełek, słuchałam opowieści i informacji jakie posiadają. Byłam też w domu Eleonor, gdzie mogłam podziwiać prace jej ojca i zamienić z jego córką kilka znaczących słów, a także usłyszeć wspomnienia o człowieku, którego tak bardzo, bardzo kochała. Eleonor nie doczekała już publikacji o ojcu, zmarła w 2014 roku.



W.T. Benda, Kobieta z maską, okładka Life Magazine, 1922 r.

JSG: Czy rodzina WT Benda ma świadomość polskich korzeni, zna polską historię i postać Heleny Modrzejewskiej?

ARŚ: Rodzina bardzo ceni sobie i dba o twórczość artysty. To niezwykle mili i otwarci ludzie. Po wielu latach pracy nad

książką, kiedy otrzymali ode mnie egzemplarz, niezmiernie się ucieszyli. Ann Taylor napisała do mnie wówczas: „Dziękuję Ci bardzo za poświęcenie czasu na poznanie mojego dziadka. Moja mama byłaby bardzo zadowolona, że zachwyciłaś się jej ukochanym tatą”.

Zarówno wnuczka, jak i jej synowie, a więc prawnuki W.T. Bandy znają postać dziadka, wiedzą, że był Polakiem, że jego ciotką była sławną Heleną Modrzejewską. Jeden z nich – Thatcher – studiował nawet teatrologię i zorganizował pradziadkowi kilka wystaw. Niemniej rodzina W.T. Bandy to Amerykanie, którzy nie byli w Polsce i nie czują już mocnego związku z krajem swoich przodków. Szanują W.T. Bendę i szyczą się nim, ale bez podkreślania jego polskości. Dla nich to nieznan świat.

JSG: Na czym polega niezwykłość W.T. Bandy?

ARŚ: W.T. Benda był dobrym artystą, z wielką wyobraźnią, świetnym warsztatem i udanym życiem rodzinnym, towarzyskim i zawodowym. Raczej nie mówiłabym o niezwykłości, bo można mówić, że był niezwykły, gdyż jako artysta miał tylko jedną ukochaną żonę..., a może ze względu na to, że szybko zasymilował się z amerykańskim społeczeństwem i znalazł w nowym kraju własną ścieżkę artystyczną..., a może był niezwykły z powodu swojego poczucia humoru, czy też z powodu tworzenia niezwykle realistycznych masek. Powiedziałabym raczej, że był

dobrym i uznanym artystą ilustratorem i twórcą masek teatralnych, z którego możemy być dumni jako Polacy.

JSG: W.T. Benda zmarł na zawał w 1948 roku przed wystąpieniem na temat masek, które miał wygłosić w Newark Public School of Fine and Industrial Art w New Jersey, gdzie pracował jako nauczyciel rysunku. Czy w Ameryce się o nim pamięta?

ARS: W.T. Benda był artystą plastykiem, uprawiającym dwie niszowe dziedziny sztuki (dziedziny, czasem nawet nie zaliczane do sztuk pięknych). Nie można więc mówić o jego wielkiej popularności. W.T. Benda był znany i popularny w latach, w których tworzył. Wielki kryzys, pojawienie się fotografii, zmiany jakie przyniosły wojna światowa, w tym pojawienie się w Ameryce przedstawicieli europejskiej awangardy (kubistów, ekspresjonistów itp.) a więc zmiana estetyki i stylu w sztuce, spowodowały, że postać artysty została schowana do głębokiej szuflady.

Jego popularność liczyć powinniśmy sukcesami i liczbą okładek jakie zilustrował w czasach największej świetności prasy (jego prace znalazły się w ponad 20 tytułach) oraz tym, jakie ceny dzisiaj osiągają jego nielicznie pojawiające się prace. Ceni się go w kręgach znawców ilustracji i środowiskach teatralnych. W tym kontekście bezsprzecznie można mówić o jego popularności i o

tym, że jest doceniany jako artysta i to doceniany w wielkiej i niedoścignionej Ameryce.

Anna Rudek-Śmiechowska, Władysław Teodor Benda, wyd. Universitas, Kraków 2016.

Pisarz nie jest
właścicielem piękna



Christian Teodorescu, fot. mat. prasowe.

Rozmowa z rumuńskim pisarzem Cristianem Teodoresc o tragikomizmie w życiu i literaturze oraz o utraczonej pamięci i jej odzyskiwaniu.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Pańska książka "Medgidia miasto u kresu" zrobiła na mnie wielkie wrażenie i choć czytałam ją przed rokiem, utkwiły mi w pamięci liczne obrazy. Jednym z nich są papryczki Januszka - jednego z Pańskich bohaterów. Po

przeczytaniu tej historii, papryczki już na zawsze będą mi się kojarzyć z tą opowieścią. Proszę mi przy okazji zdradzić, czy Januszek jest postacią fikcyjną, czy ma swój pierwowzór i czy rzeczywiście zmarł po spożyciu pięćdziesięciu ostrych papryk...

Cristian Teodorescu: Prawdziwy Januszek wielokrotnie zjadał taką ilość papryczek i wygrywał zakłady, ale w tym przypadku jednak naprawdę stracił życie.

BLC: Dla mnie ta historia jest - jak w przypadku innych Pana bohaterów - przykładem ironii losu. Kiedy spodziewamy się (a może pragniemy) jakiegoś pozytywnego zakończenia, sprawy przybierają zgoła tragiczny obrót.

CT: A czy w ogóle możliwe jest życie inne niż tragikomiczne..?

BLC: Ale dla starożytnych Greków było tragiczne.

CT: To prawda, że Grecy nie mieszały tragizmu z komizmem. Prawdopodobnie jedynym zwornikiem był chór antyczny, który komentował wydarzenia na różne sposoby. Moim zdaniem, ten tragikomizm jest naszą daniną, którą musimy oddać jednemu Bogu, który się ostał w naszej kulturze. W starożytności bogów było wielu. W "Imieniu róży" Umberto Eco występuje postać, która nie lubi się śmiać: brat Jorge z Burgos. Ukrywał traktat Arystotelesa o komizmie, przekonany o destrukcyjnej sile

śmiechu. Gdybyśmy tak samo myśleli, skutki tego byłyby równie tragiczne, jak w powieści Eco.

BLC: We wstępie do swojej powieści podkreśla Pan rolę prawdy, która została wymazana z pamięci narodu oraz istnienie białych plam w historii Rumunii. A z drugiej strony pragnie Pan opowiadać piękne historie: o swoich dziadkach, o swoim mieście... Która z tych motywacji była silniejsza?

CT: Obie te motywacje były równie silne. Część opisanych przeze mnie historii jest prawdziwa, część wymyślona, ale w obu przypadkach chodziło o to, aby jak najbardziej zbliżyć się do prawdy o tamtych czasach. A że przy okazji są to ładne opowieści, to już nie moja zasługa, tylko tego kogoś "z góry". Pisarz nie jest właścicielem piękna, raczej jego depozytariuszem. Trudno też jest jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy tego typu opowieści są w stanie przyczynić się do odzyskania zbiorowej pamięci. Mam jednak nadzieję, że przynajmniej mieszkańcy Medgidii, którzy przeczytali książkę, dowiedzieli się czegoś o nieznanej im kompletnie historii miasta.

BLC: Jednak sposób opowiadania historii jest już dla pisarza charakterystyczny. Język Pana opowieści jest dla mnie wprost niezwykły, co jest zapewne także zasługą dobrego tłumacza, bo przecież nie znam oryginału.

CT: No cóż, czasami bywa tak, że tłumacz jest bardziej utalentowany niż autor (śmiech).

BLC: Nie przesadzajmy. Sam pomysł, układ opowiadań, które są rodzajem mikrokosmosów, bo każde opowiadanie ma swoją dramaturgię i może stanowić odrębną całość – to wszystko są Pana oryginalne pomysły.

CT: Od samego początku myślałem o tym, żeby napisać powieść, która będzie inna niż wszystkie. Pierwszych kilkadziesiąt części nie sprawiły mi zbyt wiele kłopotu – pisały się gładko. Ale około sześćdziesiątej części zaczęły się poważne problemy. Musiałem bardzo się pilnować, aby początek kolejnej opowieści nie był powtórzeniem tego, co wydarzyło się wcześniej, a jednocześnie akcja musiała postępować i rozwijać się. Należało bardziej wysilić wyobraźnię, aby wygrać zakład z sobą samym o to, że uda mi się stworzyć taką właśnie nietypową opowieść.

BLC: Kiedy czytałam Pańską książkę po raz pierwszy, porównałam ją do wschodnich miniatur – precyzyjnie zbudowanych opowieści, mających podwójne dno. Kiedy zajrzałam do niej ponownie, przygotowując się do wywiadu, skojarzyła mi się – *toutes proportions gardées* – z eposeją Homera. W obu przypadkach mamy do czynienia z opowieścią o końcu jakiegoś świata, a poza tym Pan również zbiera w jedną całość historie, które się wydarzyły naprawdę i przedstawia je w

formie literacko wysublimowanej i dojrzałej. Na ile zmienił Pan gotowe historie, że stały się tym "czymś więcej"?

CT: Kilkanaście spośród opowiedzianych w książce historii zostało przejętych z opowieści moich dziadków i przyjaciół. Jednak większość z nich jest wytworem mojej wyobraźni. Podczas promocji mojej książki w mieście Medgidia jeden z uczestników spotkania powiedział, że słyszał historię majora Scipiona i zaczął mi o nim opowiadać. Kiedy skończył swoją wypowiedź, z żalem musiałem go poinformować, że takiej osoby nigdy nie było i jest ona całkowicie wytworem mojej wyobraźni (śmiech).

BLC: Zawarł Pan w swojej powieści nie tylko ludzkie historie, ale nawet opowieść o psie jednej z bohaterek, co mnie niezwykle urzekło, bo w ten sposób w Pańskim mikrokosmosie nie brakuje właściwie niczego... Jednocześnie czytelnik ma świadomość, że opisuje Pan świat, którego już nie ma.

CT: Wychowałem się w Medgidii i zapamiętałem z dzieciństwa, jak dwa razy w tygodniu przez miasteczko przejeżdżał wóz hycła, który wyłapywał bezdomne psy. W psich oczach widziałem tak wielki smutek, że zapamiętałem to do końca życia. I kiedy zacząłem pisać tę opowieść, postanowiłem poświęcić jej część również psiemu losowi.

Dziadkom, u których spędziłem wczesne dziecięce lata, zawdzięczam wiele opowieści, dzięki czemu udało mi się zapamiętać atmosferę tamtego świata. Ludzie należący do jego elit zostali zepchnięci po wojnie na obrzeża, ponieważ nowy reżim ich nie tolerował. Odchodzili na moich oczach, a wraz nimi zniknął tamten świat. Do Medgidii zaczęli przyjeżdżać za pracą nowi ludzie, którzy nieśli ze sobą inne historie, zupełnie różne od dotychczasowych. Po śmierci dziadka Stefana zrozumiałem, że to jest już zupełnie inne miasto.

BLC: Ale powrócił Pan do niego w swojej twórczości...

CT: To nie ja powróciłem do Medgidii, ale ona wróciła do mnie! W pewnym momencie zacząłem sobie przypominać te różne historie i gdyby nie było tych czterech - pięciu głównych postaci, trudno by mi było stworzyć całość opowieści.

BLC: Czy w Pańskiej twórczości temat pamięci jest wiodący?

CT: Temat utraconej pamięci jest obecny w mojej prozie od samego początku, kiedy to powstało opowiadanie "Dom", w którym zawarłem historię mojej babci z Medgidii. Po opublikowaniu go w antologii, spoczęło w szufladzie, ale już wtedy chciałem podjąć ten temat ponownie i znacznie szerzej. W innej mojej książce - *Tainele inimei* ("Sekrety serca") również jest obecna postać majora Scipiona, który całym sobą

przypomina o świecie bezpowrotnie minionym.

BLC: A co Pan pisze obecnie?

CT: W ubiegłym roku pojawił się pierwszy tom z cyklu *Șoseaua Virtuții. Cartea Câinelui* („Droga cnoty. Księga psa”) – powieść o transformacji ustrojowej, od lat 90., kiedy to tworzył się drapieżny rodzimy kapitalizm. Obecnie pracuję nad drugim tomem, ale myślę też o powieści, która tworzyłaby dopełnienie do „Medgdii”. Tym razem jednak chciałbym opisać świat dziadków mojej żony, pochodzących z Transylwanii, którzy po wojnie przybyli „za chlebem” do stolicy. Ich losy stanowiłyby kanwę nowej powieści. Mam nawet w głowie gotowy pierwszy rozdział, w którym opisuję prawdziwe wydarzenie. Otóż kiedy zmarła babcia mojej żony, do drzwi zapukało dwóch ubranych na czarno starszych panów, którzy oświadczyli, że są z towarzystwa pogrzebowego „Kukułka” i oferują swoje usługi. Okazało się, że babcia posiadała legitymację z numerem jednego z tego towarzystwa, a co więcej – jego założycielem był mąż babci. Trumnę miał wieźć wóz zaprzężony w kilka koni, ozdobnie wystrojonych w czarne pióropusze. Był rok 1981 i matka żony odmówiła takiego pompatycznego pogrzebu, ale w moim opowiadaniu babcia zostanie jednak pochowana tak uroczyście.

<http://kulturaonline.pl/>

„Dotykanie świata”



Promocja tomu wierszy Floriana Śmieji „Dotykanie świata” w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada

2016 r. Prowadzenie Edward Zyman.

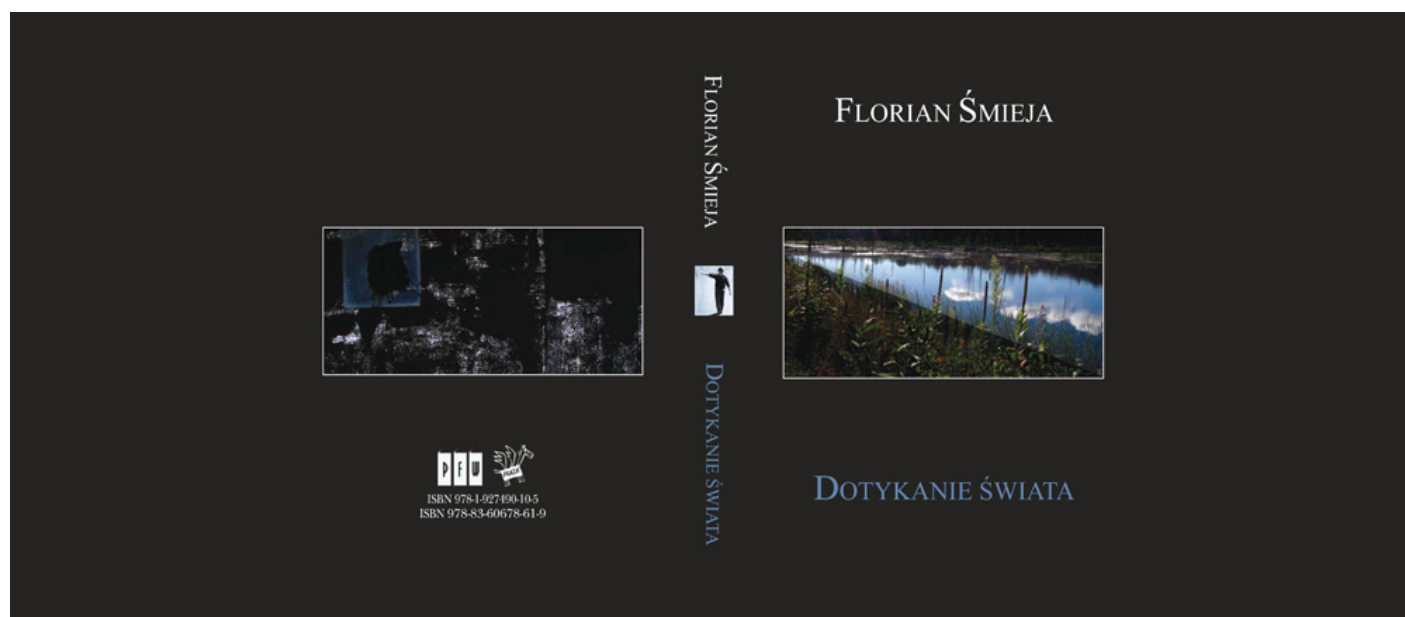
Rozmowa z profesorem i poetą Florianem Śmieją

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Panie profesorze, w listopadzie ukazał się tom Pana wierszy „Dotykanie świata”. Jest to podróż przez myśli, obserwacje i emocje z całego Pana życia, poczynając od utworów z tomu „Czuwanie u drzwi” wydanych w roku 1953 aż po najnowsze. W Pana wierszach pojawiają się motywy katastroficzne, mocno zarysowane we wczesnym okresie twórczości, w późniejszym – w warstwie semantycznej łagodnieją, ustępując miejsca refleksji nad sensem bytu.

Florian Śmieja: Byłem świadkiem, a potem uczestnikiem wojny światowej, więc nic dziwnego, że jej horrory zaznaczyły się mocniej w mojej twórczości. Później czasowe oddalenie i zaistniały dystans sprawiły, że odezwały się łagodniejsze tony, a te pozwoliły na zadumę i refleksyjność, na pragmatyczne docenienie stanu posiadania.

JSG: Część z Pana wierszy to małe traktaty filozoficzne pełne rozważań egzystencjalnych. Stawia Pan pytania bez odpowiedzi.

FŚ: Nieraz nas frapuje nieprzewidziany kalejdoskop rzeczywistości i staramy się sformułować swoje niedowierzenie. Stawianie pytań jest łatwiejsze niż ferowanie konkluzji, bo odpowiedzi są trudne, wieloznaczne, często wręcz niemożliwe. Odnoszę wrażenie, że zamiast czuć się *homo sapiens* człowiek jest *homo quaerens intellectus*, raczej istotą dociekliwą, szuka rozumienia, a sama taka aktywność nas już nobilituje.



JSG: Motywy emigracji, ziemi utraconej, wyobcowania, powrót do wspomnień, kraju dzieciństwa, często pojawiają się w Pana

utworach. Czym jest dla Pana emigracja zarówno ta fizyczna, jak i duchowa?

FŚ: Emigracja była nieprzewidzianą i niepożądaną przypadłością. Zdemobilizowany po zakończeniu wojny w Anglii, miałem różne pomysły włącznie z zostaniem rybakiem dalekomorskim. Byłem już na kursie w szkockim porcie Aberdeen, kiedy otworzyła się możliwość studiów humanistycznych w Irlandii. Te mi się powiodły i poszczyściła kariera zawodowa. W rezultacie ułatwiły mi funkcjonowanie w obcym społeczeństwie, a ówczesne liczne i prężne polskie ośrodki i żona Polka sprawiły, że zachowałem swoją tożsamość i nie nastąpiło wykorzenienie. Pokrewne duchowości zapewniły rodzinną harmonię i godziwy rozwój. Nie musiałem też „pisać na Berdyczów”, bo mogłem wielokrotnie odwiedzić kraj lat dzieciennych i spotkać jeszcze niektórych pamiętanych ludzi.

JSG: Czy pamięć to istnienie, a niepamięć to lekarstwo na pamięć?

FŚ: Pamięć nazwałem w jednym z wierszy „glejtem na stare lata”. Tamże wzywam:

pielęgnujmy pamięć

skoro nic poza nią nie istnieje.

Bo w chwili próby nie możemy być sami

świat zapamiętany będzie cumą

zbawienną, zapisem wypełnionego...

JSG: Jest Pan mocno osadzony w literaturze i kulturze hiszpańskojęzycznej, włada Pan biegle językiem angielskim, zna Pan język niemiecki. A jednak językiem Pana poezji jest głównie język polski.

FŚ: Słyszy się opinię, że poezję pisze się w języku odebranym od matki, czyli w języku, który jest dla człowieka najbardziej intymny. Pisanie w obcym języku, angielskim czy hiszpańskim, właściwie nie wchodziło w grę. Próbowałem, ale to się nie udawało, raczej wmawiałem sobie, że coś się udało napisać, ale myślę, że to były nieudane próby. Jednak ten język matczyny, dla każdego jest podstawowy, zażądał swoich praw i wydał się najśluszniejszym. Dlaczego? Bo jak ja napiszę coś po polsku, myślę oczywiście o wierszu, to mam pewność, że to jest właśnie to, co napisać chciałem, nawet jeśli to trzeba poprawiać, wprowadzać pewne korekty.

Każdy inny język, w moim przypadku angielski czy hiszpański, wymagałby jeszcze człowieka, dla którego to jest język naturalny i który potrafiłby wyłapać wszystkie jego niuanse. To właśnie było powodem, że zostałem przy polskim. Był moment, kiedy wraz z kolegami w Londynie zastanawiałem się, czy nie przejść na język angielski.

JSG: Nestor pisarzy polskich, Zygmunt Nowakowski, ani przez chwilę nie zwątpił, że zwycięży język polski.

FŚ: Mimo, że widział, iż stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosiły się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości, co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował: *Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozwagi. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności, nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.* I dodał na koniec: *A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.*

JSG: Dedykował Pan tom „Dotykanie świata” swojej żonie. Czy żona podróżując z Panem przez życie, podróżuje również przez tworzony przez Pana świat poezji?

FŚ: Żona, towarzyszy mi dzielnie od ponad 62 lat, wędrowaliśmy od Londynu przez Karaiby po Hawaje. Nie sposób negować jej zasadniczego udziału w dotykaniu świata. Wybieraliśmy wspólne wędrowki, względnie godziliśmy się na ofertę losu.



Florian Śmieja z żoną Zofią z Poniatowskich w 62 rocznicę ślubu
w lipcu 2016 r.

Wokół
angielskojęzycznych
ksiązek Aleksandry
Ziółkowskiej-Boehm



Aleksandra Ziółkowska-Boehm w swoim domu w Wilmington, fot. arch. AZB.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Pani książki są już od dawna dostępne w anglojęzycznym świecie. Zaczęło się od Kanady. Proszę przypomnieć historię związaną z opublikowaniem Pani pierwszej książki po angielsku.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm: W 1981 roku przyjechałam do Toronto na roczne stypendium Kanadyjsko Polskiego Instytutu Badawczego i Fundacji Reymonta. Niebawem zaczęłam pracę przy książce poświęconej pierwszemu w historii senatorowi polskiego pochodzenia, który zasiadł w senacie kanadyjskim. Wcześniej został pierwszym ministrem wielokulturowości, którą premier Trudeau ogłosił w 1971 roku jako politykę rządu. Był człowiekiem dużej kultury i wielkich zasług także na rzecz Polonii i Polski. Przyczynił się (jako lekarz) do wprowadzenia udoskonalenia w szpitalu w Zakopanem specjalistycznych operacji kręgosłupa przeprowadzanych u dzieci dotkniętych skoliozą. Miał wielkie zasługi dla katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Senator Haidasz czynnie się włączył w książkę na swój temat, użyczył mi materiałów, czasu i pełnego poparcia.

J.S-G: W Kanadzie zastał Panią stan wojenny i czy wtedy przedłużyła Pani pobyt o kolejne półtora roku?

A.Z-B: Tak właśnie zrobiłam. W tym czasie Ministerstwo Kultury Ontario (*Ontario Ministry of Citizenship and Culture*) ogłosiło konkurs na książkę o emigrantach. Wysłałam 30 stron tekstu n.t. polskich emigrantów i konspekt, przywołałam znane nazwiska, np. dziennikarza radiowo-telewizyjnego Petera Gzowskiego, byłego polskiego konsula Tadeusza Brzezińskiego, Jesse Flisa - wieloletniego członka Parlamentu Kanady i wielu innych. Pisałam, że chcę pokazać emigrantów, którzy dużo osiągnęli, jak

i tych, którzy z różnych przyczyn nie są zadowoleni. Aby powstała pełna mozaika i obraz prawdziwy.

J.S-G: Okazało się, że konkurs wygrały trzy osoby: Japończyk, Ukrainiec i Pani.

A.Z-B: Ucieszyłam się, ale niebawem powiedziano mi, że nie mogę otrzymać tego stypendium, bo nie jestem ... Kanadyjką. W czasie rozmowy rozżalona mówiłam, że mam wielki entuzjazm do tego projektu i uważam, że cofnięcie stypendium to swoista niesprawiedliwość. Poskutkowało, bo powiedziano mi, że chcą je zatrzymać dla mnie, ale muszę znaleźć stowarzyszenie lub organizację, która podpisze zobowiązanie, że jeżeli nie napiszę książki i wrócę do Polski, to stypendium zostanie zwrócone. Okazało się, że Polonia odpowiedziała serdecznie, bardzo ładnie zareagowało Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Kanadzie, które takich gwarancji udzieliło.

Dostałam roczne stypendium, osobne fundusze na podróż, i zabrałam się z radością do pracy. Książka dostała także od Ontaryjskiego Ministerstwa Kultury stypendium na tłumaczenie i ukazała się w Toronto w 1984 roku się p.t. *Dreams and Reality. Polish Canadian Identities*. Później ukazała się w języku polskim w Polsce pod tytułem *Kanada, Kanada....*

J.S-G: Potem były kolejne anglojęzyczne, kanadyjskie wątki,

poświęcone Senatorowi Haidaszowi i polskiej grupie etnicznej w Kanadzie.

A.Z-B: Książkę *Senator Haidasz* w 1983 roku wydała mi Polonia w Kanadzie (wydawca: *Century Publishing Company Ltd*). Sześć lat później ukazała się w Polsce pt. *Kanadyjski Senator*. W 2014 roku, pięć lat po śmierci senatora Haidasza, uzupełnioną przeze mnie o blisko 30 stron książkę, wydał *Polish Institute of Arts and Sciences* w Montrealu pt. *Senator Stanley Haidasz A Statesman for All Canadians*. Na tylnej okładce napisali opinie: Zbigniew Brzeziński, Jesse Flis, premier Kanady Stephen Harper, szef partii liberalnej Michael Ignatieff i senator Art Eggleton. Cieszę się, że publikacja ta starannie wydana trafi do bibliotek i zostanie ślad po tej szlachetnej postaci, jaką był senator Haidasz. Swoją polskość nosił z dumą jak sztandar.

W 2004 roku ukazał się wydany przez Kanadyjsko Polski Instytut Badawczy w Toronto (*Canadian Polish Research Institute*) mój zbiór wywiadów z Kanadyjczykami i Amerykanami polskiego pochodzenia zatytułowany *The Roots Are Polish*. Wśród rozmówców byli m.in. generał Donald Kutyna, profesor Andrew Schally, Zbigniew Brzeziński, Jan Nowak Jeziorański, Marek Jaroszewicz, Zdzisław Przygoda, Charles S. Kraszewski, Czesław Miłosz, Isaak B.Singer...Wstęp do książki napisał generał kanadyjski Bruce J. Legge. Napisał m.in., że „*Ziolkowska'Boehm's remarkable book sparkles with being*

Polish”

J.S-G: Spokrewniony z Panią rzeźbiarz Korczak Ziółkowski zasłynął budową monumentalnego pomnika indiańskiego wojownika Crazy Horse w Południowej Dakocie. Pani już po śmierci stryja spędziła w rezerwacie Pine Ridge kilka miesięcy, poznając Indian i ich problemy. Dlaczego książka „indiańska” ukazała się najpierw po polsku?

A.Z-B: Korczak Ziółkowski, rzeźbiarz, został poproszony przez wodza Siuksów Standing Bear o utrwalenie w Czarnych Wzgórzach Południowej Dakoty postaci słynnego Indianina Crazy Horse. Standing Bear powiedział, że Indianie „też mają swoich bohaterów”. (Wcześniej Korczak brał udział w rzeźbieniu głów amerykańskich prezydentów w Mount Rushmore, którymi pracami kierował Gutzon Borglum).

Kiedy Amerykanie w ramach stypendium Fulbrighta w 1985 roku wysłali mnie do Południowej Dakoty i zobaczyłam pierwszy raz ośrodek *Crazy Horse Memorial*, pomyślałam, że skoro mój stryj podjął się takiej wielkiej sprawy, jak rzeźby w skałach wodza Indian, to może ja... napiszę o Indianach. Pomysł był trudny, ale starannie się do niego przygotowywałam. Zaprenumerowałam dwa pisma indiańskie - „Indian Country Today” i „Lakota Times”, nawiązałam kontakty z Indianami. Książkę pisałam z dużymi przerwami 10 lat. Zaczęłam drukować swoje teksty poświęcone

amerykańskim Indianom w pismach „Odra”, „Polityka”, „Ameryka”, „Borussia”, „Przegląd Powszechny”, „Arkusz”, „Nowy Dziennik/Przegląd Polski”.

W Polsce, gdzie od 1975 roku ukazują się moje książki (Wydawnictwo Literackie wydało moją pierwszą *Blisko Wańkowicza*), w 2007 roku indiańską zatytułowaną *Otwarta rana Ameryki* pięknie wydało wydawnictwo Debit.

J.S-G: Jaki oddźwięk był po ukazaniu się Pani książki dotyczącej problemów Indian wśród samych Indian?

A.Z-B: Kiedy znajomi Indianie dowiedzieli się, że książka jest wydana po polsku, dość szybko zarekomendowali jej amerykańskie wydanie. We wstępie wydawca i ja dziękujemy Apaczom, którzy ją sponsorowali. To była moja pierwsza książka w języku angielskim wydana w Stanach Zjednoczonych. Ukazała się w 2009 roku pt. *Open Wounds A Native American Heritage*. Książkę zaopiniowało wielu Indian (m.in. znany Apacz Homer Flute), recenzowały ją pisma indiańskie, zakupiły biblioteki.

J.S-G: Wydawnictwo uniwersyteckie, Purdue University Press, wydało Pani piękną książkę o bezinteresownej przyjaźni – *Podróże z moją kotką* (angielski tytuł: *On the Road With Suzy From Cat to Companion*, 2010). Czy dostaje Pani listy, w których czytelnicy opisują historie związane z ich pupilami?

A.Z-B: Dostaję takie właśnie listy, jak i pytające, czy się znalazł drugi kot, o którego zaginięciu napisałam na samym końcu. Dzięki także tej książce poznałam wiele interesujących osób, bowiem koty... zjednują przyjaciół. Rozmawiamy chwając się nimi (nie wypada tak robić np. mówiąc o własnym dziecku) i mówiąc, jakie są wspaniałe. Kochający koty to swoisty klub ludzi z otwartym dużym sercem.

Doceniam, że tę książkę wydało wydawnictwo uniwersyteckie, które wydaje piękne książki o zwierzętach. To wydawnictwo jakby mi ją nobilitowało. Ma ona kolejne dodruki i miewa się dobrze.

J.S-G: Bardzo ważną dla nas Polaków sprawą jest przedstawienie polskiej historii amerykańskiemu odbiorcy, szczególnie tej dotyczącej okresu II wojny światowej. Do tej pory ukazały się trzy Pani książki w tłumaczeniu angielskim: *Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża* (Muza 2006, 2014), *Lepszy dzień nie przyszedł już* (Iskry 2012), oraz historia jednego z Hubalczyków, Romana Rodziewicza. Skąd ten wybór?

A.Z-B: Po wydaniu dwóch książek, o tematyce indiańskiej i kociej, bardzo chciałam, by ukazały się moje reportaże historyczne pokazujące losy Polaków, których wojna wyrzuciła z domów, z ziem ojczystych, zabrała ich bliskich, złamała im życie. (Książki te w Polsce wydają mi wydawnictwa: Iskry, PIW i Muza).

Piszę o pokoleniu, które po wojnie zostało na Zachodzie nie chcąc wracać do komunistycznej Polski, czy nie mając gdzie wracać, bo Kresy zostały zabrane. Pisałam, co się działo z byłymi żołnierzami spod Monte Cassino, z bohaterami od Hubala (tak powstała książka: *Polish Hero Roman Rodziewicz Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald and Postwar England, 2013*). Smutne, piękne, dramatyczne, bolesne - nasze polskie losy. Pokazuję wysyłki na Syberię, pobyty w obozach koncentracyjnych, przesłuchaniach na Pawiaku. Piszę o dzieciach, które straciły ojców w Katyniu. Pokazuję losy polskich Ormian, rzeź wołyńską. Wśród wielu sylwetek jest piękna postać Wandy Ossowskiej, piszę też o Żydówce Idzie Grinspan, która 50 lat poszukiwała Wandę - polską pielęgniarkę z Neustadt-Glewe, która uratowała jej życie. Ida dotarła wreszcie do szpitala, kiedy Wanda Ossowska straciła już przytomność i niebawem zmarła. Ida Grinspan w 2002 roku napisała z dziennikarzem francuskim Bertrand Poirot-Delpech książkę o swoich staraniach, by Wandę odnaleźć: *Je n'as pas pleure* (I didn't Cry). Moja książka ukazała się p.t. *The Polish Experience Through World War II: A Better Day Has Not Come* (dwa wydania: 2013, 2015).

J.S-G: Czego ważnego o Polsce i jej historii dowiadują się Amerykanie z tych książek?

A.Z-B: Wydawca napisał mi, że bardzo ceni, że piszę w powściągliwy, serdeczny sposób o dramatycznych losach ludzi,

bez komentarzy, bez pouczania. Że każdy może się utożsamić z cierpieniami, które pokazuję przedstawiając losy swoich wybranych bohaterów, że czytelnik wychwytuje najpiękniej i otwartym sercem całą tragedię i reaguje emocjonalnie.

A ja się cieszę, bo pokazuję, że Polacy-chrześcijanie byli w Auschwitz, że ratowano Żydów w ekstremalnych trudnych warunkach, pokazuję losy syberyjskich sierot... I że angielskojęzyczny czytelnik przyswoi sobie te tematy bez sięgania po historyczne rozprawy.

J.S-G: Pani historyczne książki oraz książka o Melchiorze Wańkowiczu ukazały się w wydawnictwie Lexington Books. Jak doszło do współpracy z tym wydawnictwem?

A.Z-B: Po wydaniu książki indiańskiej i kociej – nastąpił niełatwy okres. Ponad dwa lata szukałam wydawcy na tłumaczenie książki *Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego Krzyża*. Po roku jeden z nowojorskich wydawców przeczytał kawałek, poprosił o drugi – odpisał, że mu się sposób pokazania podoba i chce podpisać umowę, ale jeszcze chciałby mnie spytać – czy na pewno jest to książka o Powstaniu w Getcie?... Nie, to jest o Powstaniu Warszawskim w 1944 roku... napisałam. – To nie będziemy mieli czytelnika, odpisał i wycofał się.

Jakoś nie załamalam się, bardzo chciałam, żeby książka wyszła w

amerykańskim wydawnictwie, by dotarła do bibliotek i innych instytucji, co amerykański wydawca zapewnia. Chodziłam do księgarń *Barnes and Noble*, oglądałam dział książek historycznych, patrzyłam, kto wydaje książki o drugiej wojnie światowej, spisywałam wydawców i w internecie znajdowałam kontakt. Wysyłałam kolejne listy, na które dostawałam odpowiedź, że ich temat nie interesuje.

I tak - po ponad dwóch latach - pozytywnie odpowiedziało wydawnictwo *Lexington Books*, które wydaje książki popularnonaukowe. Książka ukazała się pod tytułem: *Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising* (dwa wydania: 2012, 2014). Wydano mi w sumie już cztery książki poświęcone tematyce historycznej, bez żadnego sponsora, w sztywnej okładce, z fotografiami. Dwie mają drugie wydania (w miękkiej okładce).

J.S-G: Czy komentowano Pani książki historyczne?

A.Z-B: Pisał o nich przytaczany na tylnych okładkach, znany na obu półkulach, Zbigniew Brzeziński, a także historycy i autorzy amerykańscy: Neal Pease, Stanley Cloud i Lynne Olson (autorzy tłumaczonej w Polsce książki *Sprawa honoru. Dywizjon 303 Kościuszkowski*), Stanley Weintraub, Bruce E. Johansen, John R. Alley, Matt DeLaMater (autor książek o Napoleonie), Terrence O'Keefe, Karl Maramorosch, Brytyjczyk Christoph Mick; polskiego pochodzenia historycy, jak Piotr S. Wandycz i Anna M.

Cienciała, autorzy: Ewa Thompson, Jerzy R. Krzyżanowski, Charles S. Kraszewski (także tłumacz i poeta), Irene Tomaszewski, Leszek Adamczyk, Florence W. Clowes.

J.S-G: Ma Pani kontakt z amerykańskimi czytelnikami?

A.Z-B: Mam amerykańskich czytelników, nieraz proszą mnie o opinię, sugestie, rekomendacje. Np. na tylnej okładce *Rising Hope* autorka Marie Sontag umieściła moją wypowiedź. Mam też spotkania w księgarniach, pojawia się wtedy lokalna TV i pokazuje potem „migawkę”.

J.S-G: Jak przystosowuje Pani swoje książki na tutejszy rynek?

A.Z-B: Nie wprowadzam znaczących zmian, ale czasami muszę dodać kilka zdań. Wyłapuje mi takie fragmenty mój mąż nie mówiący po polsku. Wskazuje, żebym coś uzupełniła, bo nie rozumie „przeskoku myślowego”, zrozumiałego dla nas, Polaków.

J.S-G: Pani mąż, Norman Boehm, był już polskim patriotą.

A.Z-B: Norman nieźle znał najnowszą historię Polski. Kilka razy wysyłał listy prostujące różne sprawy, te listy zwykle drukują. Także przed laty włączył się w akcję mobilizacji senatorów amerykańskich, kiedy ważyła się sprawa przyjęcia Polski do NATO. Jest wiele razy cytowany (został tam także podany jego

biogram) w książce Jana Nowaka Jeziorańskiego *Polska droga do NATO* (Wrocław 2006).

J.S-G: Jak Pani przekonała wydawcę, aby książka o Melchiorze Wańkowiczu ukazała się na rynku amerykańskim?

A.Z-B: Kolejno postanowiłam zaproponować książkę – tym razem o Melchiorze Wańkowiczu. Wydawca długo się zastanawiał, czy ją wydać. Pisał mi, że nikt tego pisarza nie zna. Tłumaczyłam, że jest taką postacią w literaturze polskiej, jaką był Hemingway w Stanach – ze względu na osobowość, tematykę swoich książek, popularność czytelników. Wreszcie, po różnych ustaleniach dotyczących treści, wydawca zgodził się.

J.S-G: Czym jest dla Pani wydanie książki o Pani mentorze w Ameryce?

A.Z-B: W książce *Melchior Wańkowicz. A Poland's Master of the Written Word* (2013) jako przykład stylu pisarza przytoczyłam pierwsze 20 stron jego *Bitwy o Monte Cassino*. Napisałam o polskim reportażu, o procesie 1964 roku – pierwszym procesie intelektualisty w Europie Wschodniej. W czasie procesu protesty składał amerykański PEN Club (Wańkowicz miał paszport amerykański), zabierał głos senator Robert Kennedy. Na bieżąco pisała o procesie zarówno prasa amerykańska jak i całego świata. Na końcu książki napisałam kilka osobistych wspomnień,

anegdoty. Wydaje mi się, że spłaciłam tą książką szczególny dług, kiedy pisarz zawierzył młodziutkiej osobie zapisując jej swoje archiwa. Wyjeżdżał ze Stanów wracając do Polski w 1958 roku krytykowany przez Polonię, że „jedzie do komunistów”. Teraz pisarz wrócił do amerykańskich bibliotek.

J.S-G: Książką, którą napisała Pani najpierw po angielsku, a potem przetłumaczyła na język polski jest historia Ingrid Bergman, aktorki spokrewnionej z Pani mężem Normanem Boehmem.

A.Z-B: Odkładałam pisanie książki o Ingrid Bergman (której ojciec Justus, i babcia Normana Blenda, byli rodzeństwem) dobrze ponad 20 lat. Miałam do dyspozycji listy Ingrid pisane do jej cioci Blendy, do syna Blendy, i wnuka (czyli Normana). Miałam ładne opowieści mojego męża, który swoją kuzynkę szczerze podziwiał, lubił i cenił. Spotykali się w Rzymie, w Deauville, w Londynie. Odkładałam pisanie, ważniejsze jakby były tematy polskie, aż wreszcie przeraziłam się, że coraz mniej ludzi pamięta tę niezwykłą aktorkę, i powinnam nie zwlekać.

J.S-G: Agentka sugerowała wprowadzenie zmian i dopisanie nieprawdy, aby książka się lepiej sprzedawała. Czy myślenie rzetelnego dokumentalisty tak bardzo różni się od myślenia osób związanych z rynkiem książki w Ameryce, że nie było możliwości porozumienia?

A.Z-B: Kiedy miałam tę niedużą książkę gotową, poszukałam agentkę. Zapoznała się z tekstem i dość szybko podpisałyśmy umowę. Niebawem napisała do mnie, że tekst jej się bardzo podoba od początku, ale... jest za mało sensacyjny. Odpowiedziałam, że jest to książka w założeniu spokojna, wyciszona, oparta o wspomnienia rodzinne. Nie pretenduje do wielkiej biografii (dużą kolekcję książek o Ingrid Bergman mam w domu). Swoisty urok tego tekstu jest w cytowanych listach, w których m.in. pisała, co myślała o Włoszech, Szwecji, Stanach Zjednoczonych.

- Może np. dopisz, że Norman się podkochiwał w swojej kuzynce... - zaproponowała moja agentka. - Ależ ja tego nie napiszę, nie mogę tego napisać - odpisałam. - Nie martw się, moja edytorka ci to dopisze - odpowiedziała.

Przeraziłam się, szybko zrozumiałam, właściwie dyskutować było trudno... kolejne sześć miesięcy trwało wycofywanie się z tej umowy. Napisałam o wszystkim do mojego wydawcy książek historycznych, który odpisał, że oni nie mogą jej wydać, bo wydają książki popularnonaukowe, ale pomogą mi znaleźć wydawcę. I tak się stało. Ukazała się pod tytułem *Ingrid Bergman and Her American Relatives (2013)*, wkrótce potem w Polsce pt. *Ingrid Bergman prywatnie* (pięknie wydana przez wyd. Prószyński i S-ka).

J.S-G: W tym roku ukazała się w języku angielskim Pani autobiografia *Ulica Żółwiego Strumienia*, zatytułowana *Love for Family, Friends, and Books* (2015), którą pisała Pani mieszkając z mężem w Dallas w Teksasie. Ludzka pamięć zmienia się w zależności od tego ile razy przypominamy sobie wydarzenia i z którego punktu na nie patrzymy. Czy ukazanie się tej książki po wielu latach od polskiego wydania, spowodowało powrót do osób i historii z Pani życia? Czy gdyby Pani teraz pisała autobiografię, widziała by Pani pewne wydarzenia inaczej?

A.Z-B: Dobrze, że tę książkę napisałam mając 40 lat, nie czekałam, aż się całkiem zestarzeję. Książka jest z założenia serdeczna, o czym we wstępie piszę. Pamięć jest ulotna, różne sprawy inaczej pamiętamy po czasie. Może po latach pamięć jest bardziej „ranliwa”?... W tłumaczeniu zabrałam kilka fragmentów, dodałam inne, np. o roli papieża Jana Pawła II w Polsce, o zmianach, które następowały.

Amerykańskie wydanie na tylnej okładce jest zarekomendowane przez autorkę wielu książek Audrey Ronning Topping, profesora Bruce Johansena. Jesse Flis napisał, ...że moje pisanie motywuje wielu Kanadyjczyków by na nowo odkryć swoje polskie korzenie (*The autor's writings have motivated many Canadian citizens to rediscover their Polish roots*). Ładnie, prawda?

Pierwodruk:

PAMIĘTNIK LITERACKI, Londyn, Tom XLIX, wydawca: Związek
Pisarzy Polskich na Obczyźnie, czerwiec 2015. str. 75-81.

„Poezja to zakon,
a nie łąka motyli”



Rozmowa z ks. Januszem Arturem Ihnatowiczem

Edward Zyman: Przypomnijmy na wstępie kilka faktów. Opuścił Ksiądz Polskę w wieku lat siedemnastu, by w 1946 roku wraz z matką i siostrą połączyć się z przebywającym w Wielkiej Brytanii ojcem, oficerem polskich sił zbrojnych na Zachodzie. W Szkocji, w polskiej szkole, zdał Ksiądz maturę, po czym uzyskał dyplom angielski na Uniwersytecie Londyńskim, by w 1948 wyjechać do Irlandii, gdzie w latach 1948-1951 studiował filozofię i psychologię na uniwersytecie w Dublinie. W rok po obronie dyplomu (1952) zamieszkał Ksiądz w Toronto w Kanadzie, skąd w 1958 nastąpił powrót do Polski. Kolejnym etapem były studia w Seminarium Duchownym w Kielcach, gdzie cztery lata później Ksiądz otrzymał święcenia kapłańskie. Następne lata przyniosły kontynuację studiów teologicznych w Warszawie, Ottawie i Rzymie, zwieńczonych uzyskaniem w 1984 roku doktoratu w rzymskim Angelicum. W latach 1969-1997 wykładał Ksiądz teologię na uniwersytecie katolickim St. Thomas w Houston w Teksasie, gdzie mieszka do dzisiaj. Czy w tym skrótowym z konieczności biogramie wszystko się zgadza, a może Ksiądz chciałby wprowadzić doń pewne korekty i uzupełnienia?

Janusz Artur Ihnatowicz: Wszystko się zgadza.

E.Z.: Czy zachował Ksiądz w swojej pamięci okoliczności powojennego wyjazdu do Anglii? W tamtym okresie z oczywistych względów nie było to przedsięwzięcie łatwe.

J.A.I.: Tak, to przecież było dramatyczne przeżycie. Nie tylko sam fakt opuszczenia Ojczyzny. Już teraz nie bardzo mogę sobie odtworzyć moje nastawienie do tego faktu. Wcześniej nieco w paczce kolegów i koleżanek z tajnych kompletów wojennych snuliśmy rozważania o oporze przeciw komunie. Ale już zaczęli znikać koledzy poszukiwani przez UB, o których dowiadaliśmy się, że są w Anglii. Wszystko to czyniło takie wyjazdy czymś mniej „nie-do wyobrażenia”. Zresztą wątpię, czy rzeczywiście miałem jakieś zdecydowane sprzeciwy wobec podjętej przez Matkę decyzji. Natomiast sama podróż przez „zieloną granicę” barką na Odrze i kanale do Berlina była jak z powieści przygodowej. Po paru tygodniach w Berlinie pojechaliśmy pociągiem do stacji bliskiej granicy strefy brytyjskiej. To był najbardziej pełen obaw odcinek, bo w czasie przejazdu przez strefę sowiecką zdradzenie się jako Polacy wobec współpasażerów przepełnionego pociągu groziło tym, że nas wydadzą władzom sowieckim. Nasz opiekun, Volksdeutsche z Polski, ogłosił, że jesteśmy Niemcami z Estonii – to miało tłumaczyć braki naszej niemczyzny. Później nocna wielokilometrowa wędrówka do granicy strefy brytyjskiej – ciągnęła obawa, że natkniemy się na patrol sowiecki. A potem to już była „normalka”. Polskie władze wojskowe zaopiekowały się nami,

wydały nam karty dipisów i umieściły w słynnym Maczkowie, gdzie doczekaliśmy wiz do Anglii. Cóż, to historia na różne sposoby podobna do wędrówki setek, jeśli nie tysięcy rodzin wojskowych. Czasem żałuję, że nie zmobilizowałem się, by to opisać. Może teraz, jako poeta i profesor na emeryturze, coś na ten temat zrobię.

E.Z.: W latach 50. i 60. był Książdz związany z londyńską grupą Kontynenty, zjawiska w historii polskiej literatury wyjątkowego. Czy zgodziłby się Książdz z tezą, że ówczesne kontakty z kręgiem młodych polskich poetów, którzy debiutowali na obczyźnie, miały istotny wpływ na Jego późniejszą działalność literacką, a może, powiedzmy to wprost, zdecydowały wręcz o tym, że książdz został pisarzem? Po latach w jednym z wywiadów Książdz wprowadzie oświadczył: „Nigdy nie tęskniłem za środowiskiem”, nie potrafię się jednak wyzbyć wątpliwości, czy podobnie Książdz czuł w tamtym, szczególnym w Jego życiu, okresie. Przecież wówczas, dla młodego emigranta o literackich ambicjach przebywanie wśród ludzi zbliżonych wiekiem, zainteresowaniami i doświadczeniami życiowymi, którzy byli uczestnikami istotnych dyskusji i odbiorcami jego pierwszych prób pisarskich, musiało być z wielu względów znaczące.

J.A.I.: Kontynenty? Na pewno wpłynęły na to, że stałem się poetą publikowanym. Ale wiersze pisałem już wcześniej. Powiedziałbym nawet, że w pewnym sensie nie należałem do tej

grupy, bo gdy oni formowali się (w sensie wspólnej działalności wydawniczej) najpierw byłem daleko od Londynu w Irlandii, a potem jeszcze dalej - w Kanadzie. Właściwie tym, który sprowokował moje pierwsze już na poły dorosłe zafascynowanie poezją polską był polonista Czesław Bobolewski w szkole polskiej w Garelochhead w Szkocji. Potem, podczas studiów w Dublinie, było paru kolegów, z którymi czytaliśmy sobie wzajemnie wiersze. Nawet mieliśmy wieczór autorski w „salonach” konsulatu polskiego - wtedy jeszcze Irlandia uznawała polski rząd na uchodźstwie. O ile mi wiadomo - spośród nich tylko ja zostałem zawodowym pisarzem.

E.Z.: Wymienił Książd nazwisko Czesława Bobolewskiego.

J.A.I.: Tak, wspomniałem jego nazwisko, ale w tym momencie uświadomiłem sobie, że pierwszą osobą, która coś we mnie odkryła i zaszczepiła miłość do literatury była pani Różycka, profesorka języka polskiego na tajnych kompletach w I Liceum im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie. Dzisiaj nie pamiętam już jej imienia, wiem natomiast z całą pewnością, że prowadzone przez nią lekcje języka polskiego i przede wszystkim rozmowy z nią były dla mnie wielce inspirujące. Czuję się niezręcznie, gdybym w naszej rozmowie tym wspomnieniem nie spłacił zaciągniętego wobec niej długu. Natomiast jeśli chodzi o Czesława Bobolewskiego, był to znany i ceniony przed wojną polonista w Grodnie, a od roku 1937 w Harbinie w Mandżurii

(gdzie zastąpił Zbigniewa Folejewskiego). Wojna zmusiła go do ewakuacji z Harbinu, później był nauczycielem w różnych szkołach polskich sił zbrojnych na Zachodzie. Obok mnie do jego uczniów należał m. in. Florian Śmieja. Bobolewski uczył nas, jak powiedział Zbyszek Siemaszko, ekonomii słowa i „jędrnej mowy”. Wojciech Jerzy Podgórski w swojej książce *Emigracja walczących* pisze, że ma egzemplarz *Ryb na piasku* z jego uwagami na marginesie.

Wracam jednak do moich początków literackich. Z późniejszej londyńskiej grupy miałem osobisty kontakt tylko z Bolesławem Taborskim, gdy jeszcze żadnego wcielenia „Merkuriusza” nie było. To on zrobił ze mnie kontynentowca, bo zaczął mnie tam publikować. W ich działalności, nawet we wcześniejszym okresie (przed październikiem 56) właściwie nie brałem udziału, poza listami do Taborskiego, z których wyjątki on później tam drukował. To powiedziawszy, muszę przyznać, że moje rozumienie naszej sytuacji, jako poetów piszących po polsku, zgadzało się zasadniczo z tym, jak to inni członkowie Kontynentów odczuwali.

E.Z.: Krytycy, badacze literatury wielokrotnie zwracali uwagę na wyjątkowość tej sytuacji, stwierdzali to także sami członkowie grupy (Czerniawski, Czaykowski, Busza, warto przypomnieć tu także słynne sformułowanie Księdza opublikowane w 1955 roku na łamach „Merkuriusza Polskiego”: „My widzimy kulturę polską

przez oczy kultury zachodnioeuropejskiej, w przeciwieństwie do starszego pokolenia, które widziało kulturę zachodnią przez oczy kultury polskiej. My Słowackiego czytamy na tle topoli Sekwany, na tle ścian Stratfordu”). Język angielski nie „kusił” w sensie poetyckim?

J.A.I.: I to jest chyba najciekawsza sprawa. Wydaje mi się jednak, że często się przesadza, co do realności naszego możliwego wyboru twórczości angielskiej. Poza może Andrzejem Buszą, nasz kontakt z kulturą angielską dokonał się w wieku, gdy już byliśmy dość uformowani językowo i kulturowo. Nasza wyobraźnia była wyobraźnią Polaków. Choć to prawda, jak pisałem do Taborskiego, że my spoglądamy na Wisłę od Tamizy, że mamy tendencję do spoglądania na poezję polską przez soczewkę poezji anglojęzycznej, że to jednak Wisła a nie Tamiza jest rzeką naszej wyobraźni, a poezja angielska jest odświeżeniem naszej polskiej literackiej mowy. Szereg z nas wyprodukowało angielskie wiersze, lecz te – z wyjątkiem najmłodszego z nas Buszy, który po latach zarzucił język polski – zawsze chyba były czymś ubocznym. Osobna sprawa to problem tłumaczenia siebie i innych na angielski.

E.Z.: Domyślam się, że siebie tłumaczył Książdz raczej niechętnie, skoro w *Poezjach zebranych* znalazł się wydany w 1975 roku w Londynie anglojęzyczny tom *Displeasure*.

J.A.I.: Początkowo zakładałem, że tom będzie zawierał tylko wiersze polskie. Redakcja jednak postanowiła, że poezje zebrane to znaczy wszystkie wiersze publikowane. O tłumaczeniu tych wierszy nie było mowy, ile to by czasu zajęło. Istniało szereg przekładów Beaty Tarnowskiej. Kilka ukazało się we „Frazie”, inne w częściowych cytatach w jej książce *Między światami*. I tu powstał pewien paradoks, bo szereg wierszy w pierwszej części *Displeasure* to wersje angielskie wierszy, które się wcześniej ukazały w polskich tomikach. Także tłumaczyłem wiersze, które ukazały się w wydanej w Kanadzie antologii *Seven Polish-Canadian Poets (1984)*. Ale ma Pan rację, że mój stosunek do moich własnych i innych tłumaczeń moich wierszy (i to w obie strony) jest dość ambiwalentny; najczęściej produkt otrzymany sprawia poczucie niedosytu, zwłaszcza od strony dźwięku i rytmu, a więc czegoś, co dla mnie jest istotne w poezji.

Wracając do Pana poprzedniego pytania o potrzebę polskiego poetyckiego środowiska, zwłaszcza rówieśników. Nie miałem tutaj wyboru, bo takiego środowiska nigdy nie mogłem mieć. W Kanadzie utrzymywałem sporadyczne i przyjacielskie kontakty z Danutą Bieńkowską, lecz poezja nie była ich podstawowym, głównym wątkiem. Kontaktowałem się też z Iwaniukiem, Jadwigą i Adamem Tomaszewskimi, także Zofią Bohdanowiczową, ale to było już inne pokolenie. Być więc może, że to życie tak moją psychikę literacką uformowało, że straciłem poczucie potrzeby tego, czego nie mogłem mieć. W czasie mojej młodości mój

romans z poezją odbywał się całkowicie *via* książki. I tak pozostało: moje pisarstwo nie potrzebowało i nie potrzebuje podniety poetyckiego „środowiska”.

E.Z.: Pierwsze wiersze zamieścił Ksiądz na łamach londyńskiego „Życia Akademickiego” w 1954 roku. Później były publikacje na łamach „Merkurjusza Polskiego” i „Kontynentów”, druk w zredagowanej przez Adama Czerniawskiego antologii *Ryby na piasku* (1965), opracowanej przez ks. Bonifacego Miązka antologii współczesnej poezji kapłańskiej *Słowa na pustyni* (1970), ale pierwszy samodzielny tom księdza *Pejzaż z postaciami* ukazał się nakładem Oficyny Poetów i Malarzy dopiero w roku 1972, a więc w 43 roku życia. Co było przyczyną tak późnego debiutu książkowego? Uwarunkowania emigracyjne? Wybory i preferencje osobiste? Szczególny rodzaj pisarskiej perfekcji?

J.A.I.: Późny debiut to nie był mój wybór, ale władz PRL. Po przyjeździe do Polski miałem przyjęty w PIW-ie tomik (z tytułem *Tygrys*). Potem, chyba dlatego, że wstąpiłem do Seminarium, po kilkuletnim zwlekaniu wycofali się z tego. W zmienionym i poszerzonym składzie książkę chciał wydać ZNAK, ale przez szereg lat cenzura wykreślała ją z planu. Podobnie wykreślono mnie z antologii poetów Kontynentów *Opisanie z pamięci* wydanej w 1965 roku w Polsce. Ostatecznie zdecydowałem się opublikować coś w Londynie. I tak się stało, że ostatecznie

pozwolono ZNAK-owi na wydanie *Wierszy wybranych*. Oba tomiki drukowane były w tym samym czasie, ale Oficyna zdążyła *Pejzaż z postaciami* opublikować w roku 1972. Inna sprawa, że zawsze miałem i mam dość *laissez-faire* nastawienie do zabiegania o publikację moich utworów.

E.Z.: Wróćmy na chwilę do naturalnych w sytuacji, Księdza i Jego przyjaciół z Kontynentów, inspiracji literaturą angielską, co zaowocowało bogatą działalnością translatorską. Wyrazem tego są m. in. zamieszczone w *Poezjach zebranych* tłumaczenia wierszy Audena, Hopkinsa, Yeatsa, Pounda, Thomasa czy Cummingsa. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że była to działalność dwustronna, bo przecież Książ, Czerniawski, Czaykowski, Busza, Sito, Taborski i inni tłumaczyli także „w drugą stronę”, przyswajając czytelnikowi anglojęzycznemu interesujące zjawiska literatury polskiej. Stwierdziłem, że w przypadku twórców ukształtowanych w dwóch (lub więcej) kulturach to rzecz równie cenna, co zrozumiała. W tym jednak konkretnym przypadku chciałbym zapytać o coś, co dotychczas nie było wyraźnie podkreślane. Książ wrócił do kraju w 1958 roku, rok później do Polski przeniósł się Jerzy Sito, który został redaktorem „Współczesności”. Był to czas, gdy w polskiej poezji dokonywały się ważne procesy przewartościowań zapoczątkowane w połowie lat pięćdziesiątych znaczącymi tomami Mirona Białoszewskiego (*Obroty rzeczy*), Zbigniewa Herberta (*Struna światła, Hermes, pies i gwiazda*), Tymoteusza

Karpowicza (*Kamienna muzyka*), wydanym w 1956 przez Wydawnictwo Literackie tomem *Wierszy* Andrzeja Bursy. A przecież warto wspomnieć także o poezji Stanisława Grochowiaka, Jerzego Harasymowicza czy Tadeusza Nowaka. W prozie był to m. in. okres głośnego debiutu Marka Hłaski. Toczyły się w tym czasie (przede wszystkim na łamach „Współczesności”) burzliwe nierzadko dyskusje literackie. W 1960 roku nakładem wydawnictwa PAX ukazał się tom *Poezje wybrane* T. S. Eliota z esejem Wacława Borowego, przyswajającym polszczyźnie tego ważnego, nie tylko dla debiutujących w owym czasie autorów, poety. Przypuszczam, że były to zjawiska dla Księdza z wielu względów inspirujące.

J.A.I: Inspiracje, czy tylko świadomość tego, co się dzieje? Zacznijmy od sprawy najłatwiejszej - Eliota. Przypuszczam, że ten tom tłumaczeń dotarł do mej świadomości, ale nie bardzo pamiętam. Na Eliota nie musiałem czekać na tłumaczenia, był on w mojej świadomości od dawna. Co do innych, chciałbym odróżnić dwie sprawy. Pierwsza to zaistnienie autorów wymienionych przez Pana (a można by dodać i innych). Naturalnie po powrocie do Polski spotkałem się tymi książkami. Z wymienionych Mirona Białoszewskiego znałem osobiście, często bywałem u niego nie tylko na spektaklach, ale na dziennych pogaduszkach przy herbacie. Nawet dał mi zgodę na wystawienie *Szurów* w teatrze kleryckim w Kielcach. O ile mi wiadomo była to pierwsza prezentacja jego sztuki poza jego

własnym „teatrem osobnym”. Czytałem i czytam wiersze tego poety z przyjemnością, bo podziwiam jego wirtuozerię słowotwórczą i zabawy językowe. Ale nie była to chyba inspiracja w jakimś bardziej istotnym sensie. Podobnie z Harasymowiczem. Trochę moich wierszy „na manierę pseudoludową” styka się z jego twórczością, czytuję go do dziś z przyjemnością, ale nie widzę w nim jakiejś inspiracji. Co do innych wymienionych przez Pana autorów? Szczegóły już mi się zatarły w pamięci. Natomiast, mógłbym zrobić listę innych nazwisk z tego okresu. Trzeba też pamiętać, że wtedy, przeszło pół wieku temu, nie wstawiono ich jeszcze do narodowego panteonu. Byli to młodzi ludzie w gromadzie innych piszących wiersze. Atmosfera skandalu wokół takich autorów jak Hłasko miała więcej do czynienia z polityką owego czasu niż literaturą. Kto, na przykład, czyta dzisiaj *Poemat dla dorosłych* Ważyka? Inna sprawa to owe „procesy przewartościowań” i płynące z tego dyskusje we „Współczesności” (i gdzie indziej). Trzeba pamiętać, że w roku 1958 już się one dopalały. Wydały mi się też nieco zaściankowe, bo wyrastające z problemów małego zakątka komunistycznego raju. Jeśli chodzi o meritum sprawy, to postulaty różnej maści reformatorów sprawiały na mnie wrażenie wyważania drzwi dawno w literaturze świata zachodniego otwartych. Osobiście nie musiałem się wyzwalać z zauroczenia komunizmem, a terror stalinizmu mnie ominął. W przeciwieństwie też do Sity czy Taborskiego nie przyjechałem, by się włączyć w jakąś wersję tworzenia socjalizmu z ludzką twarzą. A moje parę miesięcy po

przyjeździe bycia prawie celebrytą oscylującym między „katolikami” a „reżymowymi literatami”, którzy mnie chcieli od tych „katolików” uwolnić, przekonało mnie, że te gazetowe burze to próżne gadanie bez wielkiego wpływu na to, co rządzący PRL uczynią. Zresztą przyjechałem do Polski by zostać księdzem a nie działaczem literackim. Moje stosunki z literaturą ograniczały się do czytania tego, co mi odpowiadało.

JANUSZ A. IHNATOWICZ



POEZJE ZEBRANE

E.Z.: Wspomniałem o tomie Eliota i kilku zjawiskach charakterystycznych dla polskiego życia literackiego i intelektualnego w latach Październikowego przełomu z tego przede wszystkim względu, że wiązały się one w przypadku Księdza, jak sądzę, z istotną zmianą optyki. To, co z perspektywy Londynu czy Toronto jawić się musiało niezbyt precyzyjnie, po przyjeździe do Polski ukazało z pewnością pełną gamę barw, niuansów i znaczeń.

J.A.I.: Na pewno jakaś zmiana optyki zaistniała. Muszę przyznać, że mój kontakt z poezją polską do roku 1958 ograniczał się prawie do klasyków poznawanych z paru antologii. Nie mogłem, tak jak koledzy w Londynie, korzystać z Biblioteki Polskiej. Literatura powstająca w PRL, poza nielicznymi wyjątkami, była dla mnie w dużym stopniu prawdziwa *terra incognita*. Obawiam się jednak, że nadal pozostałem w pewnym stopniu *outsiderem*, który z przyjemnością czytał nowo odkrytych poetów, lecz którego zanurzenie się w przywołanej przez Pana „gamie barw i niuansów” było czymś mało interesującym. To w inne sprawy zanurzyłem się zdecydowanie.

E.Z.: Skoro obcujemy z poezją kapłana łątwo, niejako automatycznie, narzucają się skojarzenia, że musimy mieć do czynienia z poezją w wąskim rozumieniu tego słowa religijną. Twórczość Księdza temu wyraźnie zaprzecza. Powołanie kapłańskie wchodzi w przypadku Księdza z powołaniem

poetyckim w związku bardziej złożone, rzekłbym: egzystencjalnej natury. W każdym razie wiersze jakie znalazły się w *Poezjach zebranych* nie sposób nazwać laboratorium Jego myśli teologicznej, co byłoby zasadną kategorią opisu poezji na przykład ks. Jana Twardowskiego czy Karola Wojtyły.

J.A.I.: Ma Pan rację. Jak to często powtarzam, moja poezja nie jest „poezją kapłańską” w sensie nadanym temu wyrażeniu przez Stefana Sawickiego: „Rzecz o specyficznych aspektach życia kapłańskiego lub wypowiedź o świecie z wnętrza kapłańskiego doświadczenia”. Nie jest to nawet „poezja teologiczna” – jak Wojtyły. Nie mając umysłowości filozoficznej nie potrafię tworzyć wierszy filozoficznych czy metafizycznych, które są jakby ubranym w symbole i obrazy zamyśleniem nad ważkimi problemami świata i egzystencji. Moje wiersze to raczej próby opisu konkretnych wypadków i zwykłych sytuacji ludzkich oparte o intuicyjne przeczucie ukrytego w tych wydarzeniach jakiegoś „drugiego dna”, dotknięcie którego przez opis w wierszu da czytelnikowi tę radość, która płynie z przeniknięcia poza banalność powierzchownego tylko poznania świata i własnej egzystencji. Jak napisała w innym kontekście Beata Obertyńska, „Szczęście nie ma być wielkie by było doskonałe”. Może płynąć z głębszego i bardziej sympatyzującego zobaczenia „Popołudnia podwórzowego burka”, jak i dramatu wojennego zniszczenia. Mam nadzieję, że moje wiersze w tym sensie są kapłańskie i chrześcijańskie.

E.Z.: Jako czytelnik nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Równocześnie jednak nie sposób nie zauważyć – co podkreśla Alicja Jakubowska-Ożóg, redaktorka *Poezji zebranych* i zarazem autorka do nich wstępu – że wiersze Księdza nierzadko „przywołują autorytet Biblii” i że jest ona w nich obecna nie tylko w postaci cytatu, aluzji czy parafrazy, ale nade wszystko „w sposobie ujmowania ludzkiej egzystencji, wykorzystywana jako dyskretny komentarz do rzeczywistości nie pozbawiony często ironii czy sarkazmu”. Na potwierdzenie tak sformułowanej tezy można przytoczyć takie piękne, głębokie wiersze jak „Krajobraz wewnętrzny”, „Balaam”, „Niewidomy z Betsaidy”, „W poszukiwaniu straconego domu”, „Elegia na śmierć Kosówki”, „Powrót wygnańców” czy „Upadek zachodniego świata” – wymieniłem kilka zaledwie przykładów. W innym miejscu przywołana autorka napisze wprost: „Poezję autora *Niewidomego z Betsaidy* należy widzieć jako swego rodzaju palimpsest, w którym w różny sposób poprzez bezpośrednie nawiązania, stylizacje, inkrustacje motywami, postaciami prześwieca obraz *Księgi*”. To bardzo trafna, moim zdaniem, interpretacja.

J.A.I.: Bardzo pochlebna ta opinia pani Jakubowskiej-Ożóg, mam nadzieję zasłużona. Ale tutaj potrzeba ostrożności. Takie nasycenie „językiem biblijnym” może być tylko skutkiem podobnego nasycenia potocznej kultury polskiej. Nie musi być ono dowodem osobistego przyjęcia biblijnej wizji świata.

Przykłady z polskiej, i nie tylko polskiej literatury można by mnożyć. Choć jak się sprawa ma, da się na ogół poznać przez analizę roli, jaką spełnia ten język w poszczególnych utworach.

E.Z.: Obszerny tom *Poezji zebranych* stanowi (niepełny) plon blisko sześćdziesięcioletniej działalności twórczej Księdza. Od pewnego momentu preferuje Ksiądz formę krótką, często epigramatyczną, która przynosi skondensowane rozpoznania, a także pytania dotyczące istoty ludzkiej egzystencji. I znowu tytułem przykładu przytoczyć można kilka wierszy: „O zachodzie słońca”, „O ptasie skrzydło”, „Statek widmo”, „Epigramat o nadziei”, „Do drzwi dochodząc”. W jednym z nich Ksiądz wręcz dowcipno-przekornej odpowiedzi ma pytanie „Dlaczego piszę krótkie wiersze”.

J.A.I.: Najprostsza odpowiedź: bo się starzeję. Przyszło to bez żadnego mojego zamierzenia, naturalnie. Zenon Ożóg pisał kiedyś o cechach charakterystycznych „poezji senilnej”. Krótkość może być taką cechą. Starzy ludzie szybko się męczą. Przywołany przez Pana wierszyk daje odpowiedź właśnie w tych kategoriach. Człowiek się łatwiej wyczerpuje. Ale można na to spojrzeć od strony pozytywnej: nie chodzi tu tyle o krótkość, co o zwartość. Moim zdaniem najbardziej przejmujący późny wiersz Mickiewicza to właśnie pięciolinijkowe „Połały się łązy”. Gdy się złączą dojrzałość starości (jeśli się do takiej dojdzie!) i opanowanie rzemiosła, człowiek może dojść do sedna sprawy „na

skrótów” i znaleźć metaforę, która to wyrazi.

E.Z.: Podrażmy przez chwilę ów problem „dojrzałej starości”, choć w nieco innym aspekcie. Poezja Księdza nigdy nie była przesadnie optymistyczna, sporo w niej wizji ciemnych, apokaliptycznych, a przywołany przed chwilą badacz, charakteryzując tom *Niewidomy z Betsaidy*, stwierdził, że jest on naznaczony „w nieporównanie większym stopniu niż cała dotychczasowa twórczość, piętnem śmierci”, co pozwoliło mu przywołać obecne, jego zdaniem, w wierszach Księdza „poczucie fatalizmu losu człowieka”. Swe wnikliwe i interesujące skądinąd refleksje badacz ów kończy następującą tezą: „Wydaje się, że te wyznania, których tematem jest negatywny stosunek zarówno do życia, jak i do śmierci, stanowią raczej wyraz kryzysu duchowego. Nie ma tu buntu, rozpacz, ale męskie wyznanie obawy, lęku wobec nieuchronnie uciekającego czasu”. Czy Ksiądz gotów przyznać, że przytoczone sformułowania trafnie oddają Jego życiową i pisarską filozofię?

J.A.I.: Owe psychoanalizy krytyków literackich sprawiają mi satyryczną radość. Nie bardzo jednak rozumiem dlaczego świadomość „nieuchronnie uciekającego czasu” ma być „wyrazem kryzysu duchowego”. W pierwszym rzędzie świadczy raczej o wyleczeniu się z choroby młodości, wiary we własną nieśmiertelność (i to nieśmiertelność, która jakoś zaneguje rzeczywistość śmierci – co, jak ktoś powiedział, jest dobrą

definicją piekła). Moja „filozofia” to rzeczywiście wiedza, że „wszystko mija”, ale nie jest to wiedza pełna strachu czy goryczy, lecz wiedza wyzwalająca z zależności od rzeczy, w których choćbym nie wiem jak chciał, nie znajdę stałego domu.

E.Z.: W „Pieśni samotnego człowieka” znajdujemy korespondujący z tą konstatacją fragment:

Dom mój wielokroć budowany
rozpłynął się jak zmrok
bo z chcień i snów uwity
ułudy wiecznej namiot

J.A.I.: To jest bardzo wczesny wiersz, powstał w latach pięćdziesiątych. Obawiam się, że nie rozumiałem tego stwierdzenia w kategoriach metafizycznych czy teologicznych, a raczej tylko egzystencjalnych. To takie stwierdzenia młodego człowieka, że wszystkie próby znalezienia kontaktu, domu w tym sensie kończą się niepowodzeniem. To, co miało być domem na życie, okazało się być tylko pokojem hotelowym.

E.Z.: Jako twórca stawiał sobie Ksiądz zawsze wysokie

wymagania. Nie wątpię, że mimo absorbującego powołania kapłańskiego, poezji, owej wielkiej pani, jak ją określił Karol Wojtyła, poświęcał Ksiądz należną uwagę. Utwierdzają mnie w tym odczuciu nie tylko same wiersze, ale także jedna z wcześniejszych, z początków lat sześćdziesiątych, wypowiedzi Księdza. Rozważając funkcję i znaczenie metafory, która pozwala „zejść głębiej, poniżej powierzchni rzeczy, by w jakiś sposób dotknąć ich tajemnicy” stwierdził Ksiądz wówczas, że „poznaje się istotę świata (ut cognitum ut appetitum) przez głębsze poznanie samego siebie”. I dlatego, tak brzmiała konkluzja wyводу: „poeta ma obowiązek wobec samego siebie pogłębiania swego życia duchowego. Poezja to zakon, a nie łąka motyli”.

J.A.I.: Nie wiem czy sformułowałbym to w ten sam sposób obecnie, ale podstawowa myśl jest wciąż moja. Godzę się z Wojtyłą, że „Poezja to wielka Pani” (choć może nie tak wielka jak on uważał – mniej we mnie dziedzictwa romantyzmu). Dlatego nie można jej traktować „per nogam”. Stąd obowiązek pisania dobrze, i nie jest tu błądą sprawą opanowanie rzemiosła. Ale chodzi o coś więcej. Poezja musi płynąć ze szczególnego rodzaju wiedzy. Inaczej wiersze staną się pustym przelewaniem pięknych choćby słów, lub taką czy inną „propagitką”. I tu sprawa metafory, która jest dla mnie podstawowym językiem poezji. Metafora, czy bardziej ogólnie stworzenie symbolu, to próba uchwycenia i zakomunikowania owej intuicji „drugiego dna” rzeczy, owego zejścia w głąb, poniżej powierzchni rzeczy, by w

jakiś sposób dotknąć ich tajemnicy. A zdolność do takiego spojrzenia w głąb wymaga dyscypliny intelektualnej i moralnej, czy ogólnie egzystencjalnej, bez niej człowiek ślizga się po powierzchni od podniety do podniety. Tak więc poważne traktowanie siebie jako poety, poważne traktowanie Poezji, wymaga podwójnego trudu opanowania medium i opanowania siebie. I tu podobieństwo do zakonu. Kto nie jest na ten trud zdecydowany, niech się poświęci produkcji cukierków lub sprzedawaniu działek na Marsie.

E.Z.: Wielokrotnie Ksiądz podkreślał, że nie miał ambicji zostania poetą anglojęzycznym. Przebywanie wszakże przez kilkadziesiąt lat na obczyźnie sprawiło, że wiersze Księdza pozostawały, nie tylko ze względów politycznych, poza głównym nurtem także polskiego życia literackiego. Dotyczy to zresztą również poezji innych uczestników naturalnego literackiego eksperymentu, jakim była grupa Kontynentów. Krytycznie wypowiadają się na ten temat m. in. Czaykowski i Czerniawski w wydanym przed kilku laty tomie swych rozmów zatytułowanym *O poezji, nostalgii, krytykach i kryteriach*. Zwracają w nim m. in. uwagę na preferujące „krajowców” mechanizmy polskiego życia literackiego, w tym charakterystyczne hierarchie tzw. środowiska. Czy fakt ten był, jest przedmiotem refleksji Księdza?

J.A.I.: Nie wiem czy refleksji, bo mało temu poświęciłem czasu i uwagi. Ale to jest na pewno tak zwany „fakt życia”. W jakimś

sensie jest to normalna ludzka sprawa kumoterstwa, które działa w tworzeniu tak zwanych elit. Był to dawniej (może nadal jest) problem pisarzy mieszkających na tak zwanej prowincji. Czerniawski z Czaykowskim na to utyskiwali, bo ich irytowało to wykluczenie z salonu. Ja to przyjmuję za jeden z „faktów życia” i nie buntuję się przeciw byciu poetą bardzo „niszowym”.

E.Z.: Dotychczas w naszej rozmowie nie pojawiły się wątki osobiste, prywatne, a myślę, że czytelnika zainteresować by mogło, co wypełnia Księdzu czas poza posługą kapłańską i pisaniem wierszy? Czy Ksiądz utrzymuje kontakty towarzyskie z twórcami, zwłaszcza polskimi, osiadłymi na tym kontynencie? Co jest Jego pozazawodową i pozaliteracką pasją? Słowem jak „zagospodarowuje” Ksiądz tak twórczo owocującą jesień swego życia?

J.A.I.: Obawiam się, że tego czasu poza „posługą kapłańską i pisaniem wierszy”, a przecie także pracą badawczą i pedagogiczną zostawało mi przez życie bardzo mało. I nie tylko o czas tu chodzi, ale - głównie - o inwestycję kapitału intelektualnego i emocjonalnego. Geografia sprawia, że kontakty z twórcami (i w Polsce, i na tym kontynencie) są raczej mizerne i sporadyczne. Obawiam się też, nie mam niczego, co by można nazwać „pozazawodową pasją”. Są naturalnie rzeczy, które sprawiają mi przyjemność, czy dają radość, którymi wypełniam wolny czas: muzyka klasyczna, dawniej wycieczki wysokogórskie.

Jak zagospodarowuję ową „jesień”? Na razie idę jeszcze „rzędem” i naukowym, i poetyckim. Są rzeczy do skończenia (jak na przykład wydanie *Poezji zebranych*). Ale powoli zamykam mój warsztat naukowy i poetycki. Może spróbuję tłumaczenia – jest kilku poetów angielskich, których chciałbym udostępnić czytelnikowi polskiemu. Ale chyba najbardziej zadawalającym zajęciem emeryta jest żyć i czytać bez pośpiechu. Tyle jest wokół nas rzeczy i słów, którym warto się przyjrzeć, a które, spostrzeżone, sprawiają radość.

E.Z.: Gdy Ksiądz w 1969 roku wybierał Houston jako miejsce swej długoletniej pracy i równie długiego zamieszkania, stawiając pierwsze kroki na swej „nowej planecie”, mniej więcej w tym samym czasie, konkretnie w dniu 20 lipca tego roku, Neil Armstrong przekazał z pokładu Apolla 11 historyczną wiadomość o wylądowaniu amerykańskiego statku kosmicznego na Srebrnym Globie. Centrum Kierowania Lotami Kosmicznymi znajduje się... w Houston. Nie potrafię nie zapytać, jak to dziejowe w życiu naszego gatunku wydarzenie przyjął ksiądz, profesor teologii i poeta?

J.A.I.: Lądowanie na Srebrnym Globie odbyło się na miesiąc przed moim przyjazdem do Houston. Byłem wtedy w Ottawie, w Kanadzie. Naturalnie, byłem zainteresowany i ucieszony tym osiągnięciem naukowym i technicznym człowieka. Ale jako profesor teologii i ksiądz, a może chrześcijanin, nie byłem i nie

jestem skłonny traktować go w kategoriach metafizycznych, nie więcej niż, na przykład, dotarcie do bieguna. Inaczej mówiąc, nie jestem wcale pewien, czy napisanie *Boskiej komedii*, lub muzyki Mozarta, nie ubogaciło duchowego życia ludzkości więcej w tym, co jest na prawdę zasadnicze.

Mississauga - Houston, sierpień 2012